OPŁATA POCZTOWA
OPŁACONA GOTÓWKĄ

WANDA

PISMO DLA KOBIET

KRAKÓW LIPIEC 1939

TREŚĆ NUMERU:

Prof. U. J. Willman Grabowska: Jedziemy na wakacje
Hr. de Noailles: Spotkanie z Paderewskim
Rita Rey: Temat do rozważań
M. Rostworowska-Łubieńska: List z Hagi
Józefa Kowalska: W ciszy i cieniu
Kazimiera Hamel: Paryżanka jedzie na wakacje
Irena Szczepańska: Ca c' est — — — Kazimierz!
Jola Fuchsówna: Dwie premiery
Działy: Kobieta a obrona Państwa, Pani u siebie
Krytyka literacka, Poezje: *Bursowej i Krzetuskiej*
Korespondencja

NR 4 CENA 50 GR

REDAKTOR NACZELNY I ODPOWIEDZIALNY

Dr Janina Skowrońska-Feldmanowa

KOMITET REDAKCYJNY:

Wilhelmina Brzezińska, Jadwiga Haesicke-Hendrichowa, Aniela Krzyżanowska, Antonina Kunze, Małg. Sędzimirowa, Zofia Szydłowska.

SEKRETARKA REDAKCJI:

Mgr Władysława Sikorzanka.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:

ZMIANA ADRESU, OBECNIE

ul. Wybickiego 1. Tel. 172-81 – godziny przyjęć: poniedziałki i czwartki od godz. 12–13.

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁA I. BOJARSKA

WANDA

PISMO DLA KOBIET

KRAKÓW LIPIEC 1939

ROK 1 — MIESIĘCZNIK — NR 4

Od Redakcji

BYLIŚMY I JESTEŚMY NARODEM KRESOWCÓW. POLSKA POTĘŻNIAŁA I BOGACIŁA SIĘ, MIMO IŻ ZAWSZE MUSIAŁA STAĆ Z BRONIĄ U NOGI NA STRAŻY SZLAKÓW WIODĄCYCH Z ZACHODU I WSCHODU.

POLSKI NARÓD ROZWIJAŁ SIĘ DUCHOWO I GOTOWAŁ DO NIEPODLEGŁOŚCI, MIMO ŻE NURTOWAŁA GO WIECZNA KONSPIRACJA, ŻE ALBO TOCZYLIŚMY WALKĘ ZBROJNĄ, ALBO LECZYLIŚMY ZADANE RANY. POKOLENIA HARTOWAŁY NASZE NERWY, I CHWILA OBECNA DLA NAS NIE JEST CZYMŚ NIEZNANYM, KTO PRZETO LICZY NA NIEWYTRZYMAŁOŚĆ NASZYCH NERWÓW, POPEŁNIA FATALNĄ DYLA SIEBIE OMYŁKĘ.

KOBIETA POLSKA NIE ZMIENIA NORMALNEGO TRYBU ŻYCIA SWEJ RODZINY, I STARA SIĘ O WYPOCZYNEK LETNI DLA SIEBIE I DZIECI. ŻYCZYMY WIĘC NASZYM CZYTELNICZKOM MIŁYCH WAKACJI I DOBREGO WYPOCZYNKU!

ZARAZEM ZAWIADAMIAMY, ŻE NASTĘPNY NUMER „WANDY" PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI UKAŻE SIĘ WE WRZEŚNIU.

H. Willman Grabowska Prof. U. J.

Jedziemy na wakacje

Niektórzy już pojechali. Inni jeszcze czekają. A rodzaje tych innych są rozmaite. Jedni „czekają", aż odrobią swe zaległości... nigdy całkowicie nie odrobialne. Drudzy — aż Wielki Magik ukaże swe właściwe oblicze spoza dymów, którymi zaczadza Europę. Może tu tak będzie, jak w owym prześlicznym dramacie indyjskim o naszyjniku księżniczki. Widać tam straszliwy pożar pałacu; omal że w nim nie ginie zamknięta przez zemstę królowej niewinna narzeczona. Bohater dokazuje cudów odwagi. Ale naprawdę to nie nie było. Czarnoksiężnik przed oczyma zdumionych widzów rozsnuwa obraz pożaru, niebezpieczeństw itd. Lecz to tylko zręczna sugestia; cud techniki magicznej. Celem — wywołanie poklasku króla i odpowiedniej nagrody... W pewnych wypadkach królowi może być na imię Demos.

Inni jeszcze nie jadą na wakacje...bo ich uszy bolą od europejskiego koncertu. W orkiestrze, która niegdyś miewała na pulpicie utwory Bacha czy Bethovena, rozlegają się tak dzikie hałasy, że podobno, zdaniem właściwych melomanów, tylko poważny, głuchy pomruk działa mógłby tę niesforną orkiestrę sharmonizować. Ale może się bez tego obejdzie?

Te i tym podobne, mniej więcej „drobne" przeszkody stają między nami z otwartą walizą, do której nie ma się jakoś czasu wrzucić potrzebnych rzeczy; między nami a kasą kolejową, gdzie przy okienku tak nęcąco sprzedaje kasjer bilety w różne znane i nieznane strony. Przecież lepiej nie zwlekać, a korzystać z „lata i słońca złotego". — „To nasz zysk, co ukradniesz, gdy hól nie na straży", mówi poeta. I słusznie. Gdybyśmy chcieli wpierw załatwić wszystkie troski dzienne, a potem dopiero pójść spać, nigdybyśmy się spać nie położyli. Czekać aż się wszystko uspokoi? Nigdy się nie nie uspokoi. Jeden niepokój zastąpi drugi; następny zajmie miejsce poprzedniego. Będą, rzecz prosta, różnice stopniowania. Różnice kwantytatywne, nie kwalitatywne. Najgorszą zapewne jest obawa wojny; najgorszy — widok ludzkości dotkniętej szaleństwem. Ależ i zaburzenia społeczne nie daleko pozostają w tyle. A chroniczne niedomagania społeczeństw? A zaburzenia moralne jednostki? Wszystko i każde jest „najgorsze" w chwili, gdy dochodzi do głosu. Bo cierpienie jest prawem życia, jego bodźcem. A niepokój jest kategorią odczuwania ludzkiego i też bodźcem dalej, naprzód; czasem: wyżej!

Chwytajmyż więc dni słoneczne. Cieszmy się radością tym intensywniejszą im od bardziej dręczącej niepewności się wyrwała. To istotne carpe diem. Chwytajmy dzień. Wyrywajmy go dla siebie spośród otaczającej nocy.

Słodką rzeczą jest próżniactwo wakacyjne. I w ogóle próżniactwo, tylko że się do tego nie wypada przyznawać. Co zaś do kobiet, to na ogół nie umieją one się próżniaczyć czyli całkowicie odpoczywać i dlatego niegodziwi — niektórzy — mężczyźni twierdzą, że mało kiedy kobiety umieją też intensywnie pracować. Nie mam zdania pod tym względem. A raczej jeszcze nie mam zdania. Jestem, jak ów wyższy urzędnik Anglik, z którym rozmawiałam o ewentualnej przyszłości Indyj i o Hindusach. „Nie mogę powiedzieć nic stanowczego; za krótko na to mieszkam w Indiach". —? — „Dwadzieścia lat". — To może jeszcze z czasem wyrobi sobie pan opinię? zapytałam. — „Za cztery lata wychodzę do emerytury, i nie będę potrzebował o tych kwestiach myśleć".

Podobno jedziemy tego roku na Łemkowszczyznę? Znali ją już nieco dawniej językoznawcy, którzy, chodząc od wsi do wsi i rozmawiając ze starymi czy młodymi, badali tak bliskie naszej mowie narzecze Łemków. Niżej podpisana miała zaszczyt tłumaczyć nawet na język francuski sprawozdanie o tym do Biuletynu Akademii Umiejętności, dla poinformowania kół naukowych za granicą. Chadzały też na Łemkowszczyznę harcerzyki. Obecnie odkryto ją na nowo. To i lepiej. Bawiąc kilka lat temu na Huculszczyźnie, miałam sposobność skonstatować, że nas nigdy za wiele tam, gdzie dotąd było nas stanowczo za mało. A zdarzyło się, że mieszkałam w samym ośrodku propagandowym.

Zapewne został też ułożony jakiś program działania, by zbliżyć się z ludnością, na którą tak odmienne wpływają czynniki, a tak silnie i, przyznajmy, często inteligentnie organizowane. Szkoda, że o tym programie nie bliższego nie wiemy. Wierzymy, że ułożono go ze znajomością psychologii i potrzeb ludu łemkowskiego, jak również zdając sobie sprawę z możności będących w posiadaniu strony działającej. Naturalnie, nawet kupowanie mleka i jagód, tłumne pokazy-

wanie się usposabia do nawiązania stosunków — gdy je kto nawiązać umie. Ale warunki historyczne i etniczne tak się dla nas ułożyły, że my często startować musimy do biegu, tam gdzie inni chodzą sobie spacerem. Więc potrzeba nam odpowiednich rumaków i jeźdźców; treningu i trenerów.

Wyjazd na wakacje jest też ucieczką. Raczej jej bezowocną próbą, gdyż od siebie samych nie uciekniemy nigdzie. Ale zawsze coś się tam uszczknie: promieni słońca, zapachu pól, szumu wiatru i tym podobnych ingrediencji, które tym się różnią od aptecznych lekarstw, że nigdy nie zaszkodzą.

Jest też daniem ujścia odziedziczonej po bardzo już odległych przodkach żyłce koczownictwa. Bo nauka niby dzieli ludy na koczownicze i osiadłe, ale w tych drugich widzi wyższy, zatem następny dopiero stopień cywilizacji. Mówi się też, że nomadowie szli za swymi stadami. Gdy te zjadły trawę, trzeba było ciągnąć dalej, szukać nowych pastwisk. Ale zdarzało się, że i pastwiska jeszcze były, a już hordy całe, pędzone jakimś wichrem, czy żądzą grabieży, czy właściwszą człowiekowi żądzą niszczenia, czy też jakąś ciekawością: co dalej? — przeciskały się z jednego krańca stepów na drugi, rozkołysane jak fale zamkniętego jeziora. I dopiero, gdy się obiły o jakąś twardą zaporę, wracały rikoszetem już nie na pierwotne miejsce. My, t. zw. cywilizowani, czynimy to w mniej więcej równych odstępach czasu, a wracamy na szczęście własne dawne siedlisko, bo tam nasza słabość i nasze zastarzałe wady najdogodniej się inkrustują.

Lecz coś z tego dawnego przenoszenia się „całym dworem" tj. z bydłem, sprzętem, żonami i dziećmi jeszcze w różnej postaci zostało. Gdy patrzę na nieskończoną ilość tobołków, kufrów, paczek przeciętnej (tj. takiej jaką być powinna) pani, wyjeżdżającej na wakacje, gdy dowiaduję się, ile jeszcze rzeczy koniecznych zapomniała, staje mi przed oczyma obraz dawnego koczownictwa. Wprawdzie pod tym względem nie dorównywamy Wschodowi. Tam ze zdumieniem patrzyłam, jak do wagonu wtaczano pakę za paką, kufer za kufrem, dziecko za dzieckiem, nareszcie skrzynię ze starym ze łaztwem i nieodłączny gliniany o wysokiej szyjce dzban, unieruchomiony w drewnianym postumencie — dzban ze świeżą wodą. Przedmioty martwe zajmowały podłogę, przedmioty żywe umieściły się na dwóch kondygnacjach sof, biegnących wzdłuż ścian wagonu. Bo „coupé" indyjskie to rodzaj pokoju, coś jakby nasza „salonka".

Innym razem o wędrówkach na Wschodzie i pielgrzymkach do świętych miejsc. To też wakacje moralne, odpoczynek dla duszy, tak samo jak u nas. Ale nie lubię pisać dorywczo o Indiach: laicy, pytając o nie, zawsze spodziewają się czegoś nadzwyczajnego. Nadzwyczajności otaczają nas dokoła, na każdym kroku naszego szarego, europejskiego dnia. Tylko otworzyć na nie nasze zblazowane oczy! Wprawdzie tam, w dalekich krajach wszystko wydaje się ciekawsze, bo wszystko pierwszy raz widzimy. A tak dobrze byłoby gdybyśmy i u nas umieli stosować tę radę, którą słusznie umieszczono na nowym Trocadero w Paryżu: „trzeba umieć patrzeć na każdą rzecz tak, jakby się ją po raz pierwszy widziało". — Ale któż jeszcze taką wrażliwość posiada? któż jeszcze tak bogaty w świeżość odczuwania?

Lato, król słońca, ciężkim jest panem w krajach południowych. Szlachetni Europejczycy uciekają przed nim w górskie a modne miejscowości, gdzie prócz piękna przyrody wszystko jest tak jak w naszych Beauville'ach. Inni siedzą w domu. Gdy u nas suche, ciepłe powiewy od rozgrzanych sosen i rzadkie zresztą burze, a czasem gdy lato jest „szkaradne" tygodniami stąpi deszcz, pod zwrotnikami bywa gorzej. Dwa razy na dzień otwierają się upusty niebieskie: woda zdaje się, zatopi ziemię, zaleje jej ogień wewnętrzny. Powietrze jak w łaźni. Gniją dywany, rdzewieją zamki, pleśnieją rzemienie. Co żyje, pcha się do domów; skorpiony cisną się po kątach, węże chowają się pod łóżka, a mrówki, mrówki! te zawsze skrzętne, zabiegliwe, niszczycielskie wiecznie pracujące, wiecznie niespokojne, niezliczone. Ot, mrówki!

Jedźmy na wakacje. Za powrotem zastaniemy tylko świeżo przybyłą warstwę kurzu. Wszystko inne, co znajdziemy, będzie miejscowe, zadomowione.

Hr. de Noailles

Spotkanie z Paderewskim

Zmarła przed dwoma, czy trzema laty, najwybitniejsza poetka Francji, hrabina Anna de Noailles, opisuje w pamiętnikach, zatytułowanych „Le livre de ma vie", swoje pierwsze spotkanie z Paderewskim, gdy liczyła zaledwie osiem lat, a wielki artysta był dopiero u progu swej świetnej kariery.

Moja matka gościła u siebie od kilku dni swoją przyjaciółkę, słynną pianistkę rosyjską p. Anetę Essipow, zamężną za wybitnym muzykiem wiedeńskim, Leszetyckim. Pani Essipow zapragnęła przedstawić mej matce pewnego młodego pianistę, wychwalając pod niebiosa jego młodzieńczy geniusz, inteligencję i wdzięk osobisty. W taki to sposób przyszedł do nas w piękny kwietniowy dzień, o czwartej popołudniu, cały skąpany w blaskach słońca, padającego na schody, wiodące do salonu, Ignacy Paderewski.

Uprzedzone o tej sensacyjnej wizycie, moja siostra i ja, skryłyśmy się wraz z naszą guwernantką za szeroką kotarą, która oddzielała część pałacu. Ten pierwszy, przelotny rzut oka napełnił nas zdumieniem i, nie mogąc jeszcze stormować o nim zdania, czekałyśmy na dalszy rozwój wypadków.

Paderewski przychodził często, a wkrótce stał się codziennym gościem. Niekiedy pan Dessus zdecydował się wziąć nas za ręce i zaprowadzić przed oblicze tego cudownego gościa.

Ujrzałam wtedy jakiegoś archanioła o rudych włosach, o oczach błękitnych, czystych i twardych, których spojrzenie nieśmiałe i wyzywające jednocześnie, zwrócone było wgłąb duszy. Mocny kark wydobywał się z rozwartego kołnierza koszuli, pod którym fruwał fontaż z białego fularu, tak białego, jak kwiecie drzew owocowych.

Wysoka i smukła postać obciśnięta była czarnym tużurkiem z bardzo taniego materiału, co kontrastowało z dumą tej twarzy przeciętej krótkim, złotawym wąsem. Możnaby sądzić, iż ten młody człowiek jest głęboko melancholijny, gdyby jego czarujące rysy nie rozpogadzały się tak często pod wpływem jakiejś anegdoty, którą opowiadał z werwą i kąśliwym humorem, wybuchając raz po raz perlistym śmiechem, godnym rozbawionego gimnazjasty.

Uścisk dłoni Ignacego Paderewskiego był tak gwałtowny i gorący, tyle było w nim siły łojalnej i namiętnej, która przepełniała mu duszę, że trudno było znieść bez głośnego okrzyku, ten bolesny dowód przyjaźni. Gdy moja dziecinna ręka została zgnieciona przez palce, z których płynęło tyle muzyki, które wyćwiczyły swą siłę na oszałamiających oktawach rapsodyj Liszta, nie tylko nie odczułam żadnego żalu do winowajcy, ale podniosłam na niego spojrzenie pełne olśnienia. Jakżeż mi się spodobał od pierwszego rzutu oka ten rodzaj waganta szlachetnej i dumnej rasy, który przybył do nas z dalekiej, królewskiej Polski. W aureoli światła, z oczyma podobnymi do gwiazd, czarodziej nam się ukazał. Pokochaliśmy go od razu.

Życie w pałacyku przy avenue Hoche utraciło zupełnie swą monotonię. Nie było nikogo w domu, ktoby nie dziękował przypadkowi, któremu zawdzięczaliśmy obecność tego młodzieńca, tak subtelnego i tak silnego swą indywidualnością.

Gdy skończyłyśmy nasze codzienne lekcje i usłyszałyśmy w naszym odległym pokoju niezdecydowane dźwięki fortepianu, zamieniające się nagle w huraganowy pasaż Liszta, lub śpiew Don Juana Mozarta, albo wreszcie w jakiś zdobywczy i brutalny taniec, pędziłyśmy tam co sił. Nasza guwernantka francuska, mój brat i jego nauczyciel, wreszcie stary maitre d'hôtel Bawarczyk, któremu wszystko służyło za pretekst aby wejść do salonu: czuwanie nad samowarem, zamykanie okiennic, nalewanie wina tokajskiego; wszyscy czuliśmy się jakby w sferze złocistego promienia, jaki widnieje na obrazach przedstawiających Zwiastowanie.

Mając naturę religijną, Paderewski zbliżał się do fortepianu, tak jak kapłan podchodzi do ołtarza. Naprzód trwał w milczeniu. Jego ręce o ułajonej mocy, spoczywały bezsilnie na kolanach. Skromny i skupiony czekał na coś. Jego twarz, jego oczy wzniesione w górę zdawały się oczekiwać tajemnego rozkazu, pomocy, wskazówki. Po tym wzruszającym wstępie, cała jego osoba w jakimś nagłym porywie atakowała klawiaturę z niepohamowaną siłą, jak gdyby na rozkaz jakiegoś rozgniewanego anioła musiał pokonać oporne chimery.

Toteż patrząc na to czoło natchnione, zdawało mi się iż widzę nad nim świetlisty promień, kończący się w chmurach.

tłum. Jol.

Przeglądając niedawno pisma w pewnej warszawskiej kawiarni, sąsiadowałam ze stolikiem, przy którym kilku panów rozprawiało o obecnej sytuacji. Nie usiłowałam powiązać w całość urywków rozmowy, jaka mnie dochodziła, raz dlatego, że były to uwagi sto razy słyszane, a po wtóre zainteresowania moje w owej chwili odbiegały daleko od zagadnień politycznych, koncentrując się całkowicie na senacyjnych modelach ostatniego numeru Feminy.

W pewnym momencie jednak nadstawiłam uszu. Doszło mnie takie zdanie: — Świat mogą uratować tylko kobiety.

Nie było to powiedziane w formie dowcipu. Było powiedziane całkiem poważnie. Odłożyłam Feminę i spojrzałam na pana który się tak pochlebnie i zachęcająco wyraził o kobietach. Był to człowiek o wyglądzie normalnym. A ponieważ popijał sok z pomarańcz, upewniłam się jeszcze bardziej o jego trzeźwości i poczytalności.

Nikt nie zaprzeczy, że powiedzenie było rewelacyjne. Niejedni zaopinują, że było ono również absurdalne. W gruncie rzeczy nie ma w tym nic rewelacyjnego ani absurdalnego. Jest natomiast spora doza prawdy, i to takiej oczywistej, narzucającej się prawdy, w jaką ludzie niegdy nie chcą uwierzyć. Uznaje się bowiem zazwyczaj tylko takie prawdy, których trzeba długo dociekać.

Świat mogą uratować kobiety. — Któż to są kobiety? — Kobiety — to połowa ludzkości. Według statystyk — nawet połowa z okładem. Nie można zatem powiedzieć, aby to była une quantité negligeable. Trzeba raczej przyznać, że to jest une quantité formidable. I trzeba się dziwić, że ta połowa ludzkości z okładem, nie bierze dotychczas żadnego udziału w rządzeniu światem. Pod tym względem jesteśmy nie tylko mniejszością. Jesteśmy nicością.

Na świecie dzieją się teraz dziwne rzeczy. Ścierają się doktryny, ścierają się ambicje, ścierają się materialne interesy narodów, grup i jednostek. Dawny porządek został zburzony, a nowy nie jest

Rita Rey

Temat do rozważań

ustalony. Powstał chaos. W chaosie zaś żadna rzecz nie znajduje się na swoim miejscu. Toteż siła jest teraz tam, gdzie niegdyś było prawo, — cynizm tam, gdzie niegdyś był honor, — bezwzględność zajęła miejsce poczciwego i wyśmianego humanitaryzmu, a etyka, zamiast po staremu opierać się na dogmatach wiary, lub bodaj na tezach filozofii, chodzi sobie luzem i proteguje różne anschlussy, osłaniając je dogodną wersją życiowej konieczności i nowej moralności.

Nikt nie jest z tego stanu rzeczy zadowolony. Ci, którzy go spowodowali, trzą grunt pod nogami i szarpią się rozpaczliwie. Inni, ponosząc konsekwencje cudzych szaleństw, organizują konieczną obronę, wymagającą gigantycznych wysiłków. Wszyscy zaś wypowiadają się szeroko, słowem, pismem i czynem, — jedni aby zniszczyć równowagę, drudzy — aby ją utrzymać. Ci „wszyscy" — to wyłącznie mężczyźni.

Jakąż bowiem rolę odgrywają tutaj kobiety? Rolę czysto wykonawczą. Wywiązują się z niej dzielnie, mądrze, z entuzjazmem i poświęceniem. Ale na tym koniec. Nie wnoszą niczego nowego. Nie zabierają głosu. Nie zajmują stanowiska, z którym świat by się liczył. Wykazują inicjatywę tylko na małych odcinkach. Wielka idea, wielka dyrektywa powstaje i trwa poza nimi.

A teraz pytanie. Czy kobiety nie dorosły do tego innego stanowiska, czy też brak im odwagi, aby się o nie pokusić? — To jest właśnie temat do rozważań.

Jakiekolwiek są jednak kwalifikacje i możliwości kobiet, jednej nikt im odmówić nie może. Siły liczebnej. Połowa ludzkości. W dodatku połowa, która dostarcza najważniejszego materiału wojennego. Materiału w ludziach! W własnych dzieciach! I ta połowa nie ma nic do gadania. A mimo to głosi się zwycięstwo równouprawnienia.

Na czym polega to zwycięstwo? Na tym, że pozwolono kobiecie być wolem roboczym nie tylko w własnym domu, ale i w biurze, fabryce lub szpitalu. Że dopuszcza się ją wyłącznie do mało odpowiedzialnych stanowisk. Że wyznacza się jej marne posady. Że ofiarowuje się jej wynagrodzenie niewspółmierne z wynagrodzeniem mężczyzn. Że obarcza się ją pracą podwójną — w domu i poza domem. Że eksploatuje się jej młodość i urodę w nieco odmiennych okolicznościach, niż to się dawniej działo. Że nagina się jej światopogląd do programów i zamierzeń zupełnie obcych jej naturze. Że toleruje się jej nowe obyczaje na męską modłę. To wszystko. Poza tym kobiety stoją akurat tam, gdzie stały przed trzystu laty i patrzą bezradnie na coraz to inne eksperymenty zawiadowców globu, z których wynikają potworne zawikłania, na jakie nie ma innej rady, jak przelew krwi. Patrzą i milczą. Co najwyżej zdobywają się na jakieś pacyfistyczne podrygi. Ale ten taniec pokojowej propagandy nikogo nie wzrusza. I słusznie. Tu nie potrzeba apostołek po niewczasie, palaniny na kongresach i krzątaniny pomniej lub więcej potrzebnych organizacjach. Tu potrzeba kobiet z głową i odwagą, któreby zbuntowały ową połowę ludzkości z okładem i zajęły miejsce, jakie im się należy. Miejsce nie tylko tam, gdzie się załatwia interesy partykularza, ale gdzie się rozgrywają sprawy społeczeństw i narodów.

Czy doczekamy kiedyś takich kobiet?

Ów pan z kawiarni widocznie w to wierzy. Może wierzą także dzisiejsi protagoniści przemocy i zaborczości, i dlatego tak przezornie wracają do systemu Kinder, Kirche und Küche. Wprawdzie wolno wyjść z kuchni aby wymachiwać swastyką, ale nie wolno zastanawiać się nad tym, co ta swastyka symbolizuje. Jest to także gwałt. Świat o nim jednak nie wie. I jakże ma wiedzieć, skoro tamte kobiety nie mają odwagi o tym mówić.

M. Rostworowska-Łubieńska (Haga)

List z Hagi

Podobnie jak we Francji, tak i w Holandii po roku niebytności odczuwa znaczna zmiana nastrojów.

Z tą zmianą różnicy jednak, że naród francuski, który ma życie jeszcze w pamięci bohaterskie walki spod Verdun i Marny, nie zapomniał władać bronią i z łatwością uagina się do obecnej sytuacji. Holendrzy zaś, mający znacznie dłuższą drogę do przebycia po zdobyciu niemal okeanów pokoju i bydlęcinu opędzanego w zbrojeniach dla nadrobienia. Przygotowano rupwindu tamy do zalania kraju, zwiększono armię z trzydziestu do stu tysięcy, umocniono granice, bez gdy się zwarzy, iż jest to kraj, przez szereg pokoleń i bogactwa zamorskie tak upełnego dla potkowieni, zdumiewa fakt, że mogą powstawać w rzędzie jeszcze targi i wahania czy budować nowe krążowniki dla obrony kolonij czy warto poświęcić na ten cel dwadzieścia milionów guldenów?!

Temu na kupiecka myślącemu narodowi trudno jest zmienić z dnia na dzień mentalność i w wygodnych sybarytów tchnąć pomimo duszę, gotowe do poświęceń najwięk-szych. Zawsze żal im będzie zamienić guldeny na armaty.

Tak im się długo dobrze działo, że przestali wierzyć, by mogło być inaczej. Przydawia im oczy optymizm, że w Europie się może sytuacja zmienić, że ada się zachować neutralność i jak w zeszłej wojnie dobrze jeszcze na tym zarobić.

Dopiero w płonącym domu uwierzy Holender w możliwość pożaru. Służba wojskowa jest tam wciąż uważana za przykrą konieczność.

Gdy wyświetlano film: „czy chciałbyś być żołnierzem?" dla uświadomienia obywatelskiego młodzieży, matki się troskały, że dzieci ich tak wczesnym mogłoby się szczęściem „nieprzyjemnych". Zgubne to wpływy zakorzenionego mocno pacyfizmu, który osłabia sprężystość narodu i paczy element bardziej uświadomiony obywatela względem swego państwa. Nam Polakom wychowanym w walce trudno zrozumieć takie nastawienie. Toteż krańcowość poglądów i różni co temperamentów zmusza do upikanu na dół w rozmowach pewnych drażliwych tematów.

Drugim punktem spornym byli do niedawna wspólni obu narodom „sąsiedzi". Obecnie zatrzli zamiłu wszystkim za skorę, by można było o nich mówić jeszcze z entuzjazmem.

Gorsza konjunktura gospodarcza Niemiec, nieciątpliwie przyczyniła się też do ostudzenia stosunków z Holandią. — tak zależną od nich ekonomicznie. Ze względów prestiżowych zapreszatu musieli również wakacyi w Baden Baden czy innych kurortach, choć było tam idealnie i tania!

Holendrzy zato częściej odwiedzają obecnie wybrzeża Anglii i Szwajcarię.

Rzadziej kierują się do Francji i Belgii, do których to krajów zawsze odnosą się jeszcze z rezerwą, mimo bliskości komunikacji i kuriozujących odwiedzin królewskich.

Niestety nie zmniejszyli Holendrzy w sierbie ruchu turystycznego z Niemiec, co stanowi niebezpieczeństwo agitacji czy wywiadu — ze względu na trudności z obsługą nieżpiorcy — bezpaną nadal personel niemiecki jako tanszy i obratniejszy. I to zakrawa już na lekkomyślność, skoro wiedzą, że służba niemiecka obowiązuna jest najlepiej informować swoje władze w otrzymywanych co tydzień kwestionariuszach: o trybie życia, położeniu materialnym i za-

Dr. J. Kowalska

W ciszy i cieniu

„Jak gdybyś była przyszła daleko przed wszystkim, co przyjść może, a miała za sobą tylko twój pęd, twoją wieczną drogę, twojej miłości lot".
R. M. Rilke: „Pamiętniki Malte Lauridsa Brigge".

W maju ubiegłego roku, w charzewickim dworze nad Dunajcem, po długiej piersiowej chorobie zgasła Sp. Julia Lubicz Meysnerowa, córka Jacka Malczewskiego.

W spuściźnie po Wandzie Malczewskiej, swojej stryjecznej babce, o której proces beatyfikacyjny w Rzymie zabiegają powołane czynniki i wielkim swoim ojcu, artyście-wizjonerze, oddziedziczyła mistyczne na świat spojrzenie, pęd do zaziemskości, wraz z bezgraniczną abnegacją gołębiego serca i miłosierną dłonią, co od młodości po przedwczesny kres sobie ujmowała, by kosztem ciągłych, a cichych wyrzeczeń i ofiar, drugim jak najwięcej dawać.

Translit benefaciendo. W swoim głęboko ujętym „Pamiętniku z wojny", skrystalizowała swe charytatywne credo w ujmujących prostych słowach: „Staram się przenieść ciężkość wagi w inne światy dalekie i staram się podnieść ducha na wzór Chrystusowych słów: „nie troszcie się zbytecznie o doczesny żywot". Staram się w cierpieniu znaleźć radość, a ponad wszystko staram się, o ile możności, robić dobrze, bez względu na filozoficzne pobudki przyczyny i skutki". Za tymi słowami szły czyny. W dziedzicze charzewickiej niezliczone rzesze wieśniacze znalazły pocieszycielkę i rozrzutną skarbniczkę. Pomiędzy nią, a nimi, nie było żywopłotów ani miedz, tylko — wspólnota jednej ludzkiej doli i niedoli. A kiedy zbliżał się kres, ostatkami sił zwlekła się jeszcze z swej śmiertelnej pościeli, by pomimo wysokiej gorączki w zimną noc, pomoc nieść starej, umierającej pracownicy dworskiej, by na kilka dni przed śmiercią, wszystek swój odłożony grosz po cichu rozdać we wsi, wśród najbiedniejszych.

Tak szła w inną, jaśniejszą formę Bytu, gdzie dusza „zbywająca ziemskich piór", przeobraża się w gwiaździstą konstelację.

Zaglądnijmy do jej młodzieńczego, sliczego dziennika „gdzie pisze: „Chciałam z życia mego uczynić rzecz piękną. Ponad wszystko pragnęłam wysoko unieść marzenie o świecie, o człowieku".

Po jej śmierci odkryła, bujna spuścizna literacka, urzeczywistnia jej marzenia, skrystalizowane w samorzutnej, oryginalnej twórczości. Już listy jej do ukochanego ojca i przyjaciół, zdradzały talent pisarski najczystszej wody.

Paradoksalnie, niespodziankę spodziewaną stanowiło odkrycie kilkunastu drobno zapisanych zeszytów, zawierających zbiór szkiców, nowel, powieści, kilkutomowych „Pamiętników z wojny" i dzienników z rozmaitych epok, — najwierniejszego zwierciadła poetyckiej duszy tej niezwykłej, nieco przekornej „Lady Paradox", jaka tkwiła w Julii Meysnerowej. Z twórczością swoją kryła się przed najbliższym otoczeniem. Za życia wolała pozostać w cieniu, by tym swobodniejszy dać upust swojemu powołaniu. Z rozkoszą pisała, „urzeczywistniając się w dwóch formach", zarazem — z tą nadzieją, że pisma jej nie przepadną, dzięki czemu, według jej własnych słów: „to, co było moją, odżyje w innych duszach. Żyjąc w nich, przerzucę się przez granicę chwilowości istnienia osobnika".

Jasnowidząco, w przeczuciu przedwczesnej śmierci, wyraziła swoje skrzydlate, poza grób biegnące marzenie: „Jeżeli do zawartej w tych kartkach cząstki mojej duszy, kiedyś uśmiechną się jakieś młode oczy, jeżeli rozpali się w nich błysk porozumienia i mosty przerzuci pomiędzy przeszłością, a przyszłością, pomiędzy życiem, a śmiercią, czyli zgasłą już moją myślą, a myślą walczącą, jeśli da jej choć odrobinę podnięty, to myśl ta jest dla mnie najwyższą zachętą, największym pocieszeniem w życiu, — jedyną słoneczną nadzieją".

Julia Meysnerowa zasłużyła na „przerzucenie się przez granicę chwilowości istnienia osobnika". Artystycznej swojej twórczości nadała piętno swej „wysoko wykołatanej" duszy. Jej rdzennie polski koloryt rozszerzają dalekie widnokręgi kultury ogólno — europejskiej. Zapalona humanistka, względnie helenistka, jakich dziś nie wiele, klasyków starożytnych znająca na wylot, śladem swego ojca, świat przyrody ujmowała pod kątem symbolizmu greckiej mitologii i w poetyckich swoich wizjach na własną nutę transponowała Homera. To pierwsze jej kroki na polu sztuki, stawiane już w okresie lat szkolnych. W samej dalszej twórczości za temat obrała samo życie, — jego przemijające zjawiska i odwieczne prawa. Umysł jej niepowszedniej myślicielki nie cofał się przed sięgnięciem w głąb najzawilszych zagadek.

Wojnę uważała za zagadkę, która głęboko wstrząsnęła jej człowieczeństwem. W ciężkich warunkach, z kilkumiesięcznym dzieckiem, zdala od męża i charzewickiego dworu, przeżyła ją z bliska, w Nowym Sączu, gdzie w grudniu 1914 r. po miesięcznej inwazji rosyjskiej, uczestniczyła w wzniosłym momencie wkroczenia I. Brygady Legionów z ich Wodzem, Józefem Piłsudskim na czele. Z gorącym pietyzmem, w swoim „Pamiętniku z wojny" uwieczniła tę dziejową chwilę. Pamiętnik swój oprawiła w ramy historiozoficzne w wyraźnie mesjanistycznym zabarwieniu. Podczas gdy Jacek Malczewski komponował swoje porywające „Pole kości", na tym tle makabrycznym, wcielając się w wędrowca-tułacza z węzełkiem na plecach, nad którego znękaną głową pochyla się Chrystusowe oblicze w cierniowej koronie i w aureoli, spływającej z łęczowego pryzmatu, córka jego w janowidzemu swej „anhelliczne" duszy, pisała: „Poznaliśmy straszliwą bezsilę człowieka w walce i spojrzeliśmy w głąb otchłani. Lecz z drugiej strony mam wrażenie iż w rozdarciu dusz, na mgnienie oka ujrzeliśmy przejasną twarz Tego ,który jest ponad wszystkim, ujrzeliśmy wielkość i potęgę jego odwiecznych prawd. Zostaliśmy jak gdyby wtajemniczeni, — my, ludzie owej wojny. Żyjemy na szczycie fali i możemy ogarnąć dalekie widnokręgi: narodziny nowych prawd, — nowych zórz".

---

patryjaranach swoich pracodawców, którymi są często nawet wysocy urzędnicy państwowi i podwładni obcych państw.

Czy przy tej sposobności nie warto byłoby także zwrócić uwagę na dość radzieckie ręce w polskich domach, które poza opieką nad dziećmi roztaczać ją muszą najpowniej też nad radzieckimi a obcowiem! Lecz cóż się dziwić służbie niemieckiej, gdy system hitlerowski nakłada na dzieci obowiązek denuncjowania rodziców. Niektóre rodziny niemieckie zmuszone były ostatnio zostawić swe dzieci we szkołach holenderskich, by móc wrócić spokojnie do kraju bez obawy zdrady z ich strony, za wypowiadanie zbyt otwartych swych poglądów o reżimie.

W obecnej chwili dusza się mami o Polsce za granicą. Stała się ona nagle w oczach Zachodu mniej odległą i znacznie dostępniejszą.

Patrzą na nas z podziwem, niektórzy nawet z odcieniem zazdrości. Szpalty dzienników wypełnione artykułami o Gdańsku zmuszają dziennikarzy i czytelników do większego zainteresowania się naszą historią i kulturą.

Zostaliśmy odkryci ponownie jak niegdyś Ameryka.

Maria Krzetuska

Kiedyś...

Wspominam
Dzień w szczęściu poczęty
I nigdy radości niesyty —
Błogosławię go — i przeklinam!

Dopóro gdy zmierzchnie
W czarno-biały
Kliszę
czasem przeciwnym zabity,
Zbudzony piorunem
Wiatr zgasi rdzawy łunę
I bezmyślnie przeciwać
Będzie przez palce niedbale
Upragnioną ciszę.

Czytam wiersz

Zwszu
Cisza była i słowa...
Jedno za drugim w pogoni

Aż nagłym wstrząśnięta gromem
Co wpopżek niebiokłam
Opadł złotym liściem
W porywie nieutulonym
Uparcie myślę,
Że wszystkie
Ze mną razem
A dojrzały owoc
Spadł w drżące oczekiwaniem dłonie.

Kazimiera Hamel

Paryżanka jedzie na wakacje

Do bardzo niedawna problem wywczasów wakacyjnych, wykorzystania lata na wyjazd poza mury miasta, — był we Francji problemem, który łatwo można by ochrzcić mianem „salonowego". A to dlatego, że miasto opuszczała w letnim okresie przede wszystkim kieszeniowa śmietanka, — bogaci rentierzy, piękne panie, szukające wrażeń i przygód, — jednym słowem kompania nierobów, mająca na zbyciu nadmiar grosza. Ci wyruszali, aby po zimowym próżniactwie odpocząć w nowym otoczeniu, zaludniali modne plaże i luksusowe hotele. Burżuazja, — do której w swej większości należy inteligencja pracująca, — nieco inaczej organizowała zazwyczaj swe wywczasy. Nadawała im ona raczej formę parotygodniowych wycieczek krajoznawczych, — w nocy wypoczywano, w dzień zwiedzano, wytchnieniem po całorocznej pracy miała być zmiana wrażeń. Kobiety najczęściej w eskapadach tych udziału nie brały. Jak to wytłumaczyć? Do czasu wojny panie z burżuazji pracujące zawodowo, przedstawiały znikomy odsetek ogółu niewiast tej klasy. Francuzka wychowywana była na żonę - matkę - gospodynię. Wydawało się więc w przedwojennym pojęciu naturalnym, że jej to właśnie przypadała rola pozostania na straży domu.

Świat proletariacki upraszczał sobie tę formę letniego wypoczynku (trochę z musu, kwestia urlopów została dopiero niedawno unormowana prawnie we Francji), — i zadawalniał się przeważnie niedzielną wycieczką w podmiejskie okolice.

Ponieważ, jak to widzimy, wyjazd gdzieś na dłuższy pobyt był zasadniczo przywilejem sfer bogatych, więc powodzeniem u wyjeżdżających cieszyły się kąpieliska, wybrzeża morskie, góry — nigdy zaś poczciwa wieś, gdzie można wypocząć (jeśli jest po czym), ale gdzie nie byłoby komu pokazać szykownych tualet czy pięknej biżuterii.

Moda kąpielisk sięga daleko wstecz. Pierwszym jej echem jest dowcipny „Heptameron" królowej Małgorzaty z Nawary, ten, który ukazuje nam wysoko urodzone damy XVI-go wieku i ich wielbicieli, wędrujących do Cauterets, aby tam „pić wody", „kąpać się", „brać muł" czyli błotne kąpiele; („les imgs pour y boire de l'eaue, les autres pour se y baigner et les autres pour prendre de la fange"). A że nastroje u wód były wówczas wesołe, (używam najdelikatniejszego wyrażenia...), o tym właśnie „Heptameron" świadczy chyba najlepiej.

Przez długie wieki problem kąpielisk i letnich wywczasów we Francji rozwijał się bardzo powoli, jeżeli idzie o klasę posiadającą. Kiedy się czyta pełne humoru felietony Vanderem'a z 1912 roku, odnosi się nieco wrażenie, że obyczajowy odskok do epoki Odrodzenia nie jest zbyt wielki. Przecież jego „bale publiczne", czyli, mówiąc dzisiejszym językiem, dancingi w modnym wówczas Deauville i opisane sukcesy „nowego sportu" zwanego tangiem, to już prawie rok 1939, z jedyną różnicą, że towarzystwo, które nam ukazuje Vanderem, to jeszcze renesansowa „śmietanka", a nie demokratyczna „sałatka" naszych czasów.

Ale przeskoczmy nowy dziesiątek lat i zerknijmy do Paris-Guide z 1925 roku. Rozdział o wilegiaturach zaczyna się tam pytaniem, —bynajmniej nie retorycznym: „Gdzie? Nad morze czy w góry?" Czuje się, że inne możliwości nie przychodzą autorom książki do głowy. Przepraszam, — przecież istnieją jeszcze „villegiatures d'automnes", wyjazdy jesienne, połączone z przyjemnością polowań, kiedy to stare zamki czy pałace gromadzą w swych murach najwykwintniejszą elitę towarzyską.

Dzisiaj jesteśmy bardzo daleko nie tylko od epoki „Heptameron'u" ale także od roku 1912, oglądanego oczyma Vanderem'a, czy nawet od koncepcji de Nolhac'a. Dzisiaj każdy i każda pragnie — bodaj na krótko, — wyrwać się z murów miasta. Pęd ten wydaje się być nie do zahamowania, skoro nawet kryzys powstrzymać go nie może. Sprzyja mu ustawodawstwo socjalne, zapewniając pracownikom umysłowym i fizycznym płatne urlopy. Sprzyjają mu zamiłowania sportowe młodych. Ale one to właśnie znaczą swym piętnem niejednokrotnie formy wypoczynku wakacyjnego we Francji, sprawiają, że często różnią się one zasadniczo od form u nas przyjętych.

Tak np. żywy francuski temperament, potrzeba ruchu i zmiany miejsca, niefrasobliwość połączona z wrodzoną oszczędnością, upodobanie w zwiedzaniu i dokładnym poznaniu własnego kraju, — wyładowują się w tak bardzo dziś rozpowszechnionym wśród sfer średniozamożnych i niezamożnych, — campingu. Naturalnie taka forma wykorzystania letnich miesięcy jest nie do pomyślenia, jeżeli idzie o liczne rodziny. Jedno dziecko, — to maximum, przy którym sobie można na tę zabawę pozwolić! Bo jakżeż odbywa się taka wakacyjna wyprawa? Rower (rzadziej motocykl) z siodełkiem lub czasami przyczepką, z tyłu „bagażownik" (czyli mała, a pakowna siatka metalowa na kółkach) łatwo odczepić się dający, tam umocowany lekki składany namiot, koc, plecak o ile w wycieczce bierze udział dziecko, niewielki koszyczek z niezbędnymi sztukami garderoby. Jeśli pogoda dopisuje, — noclegi w polu, pod namiotem, bielizna przepierana w rzeczułce czy strumieniu, jedzenie przygrzane na maszynce, haust wina dla podniesienia humoru, — krótko mówiąc: prymityw na wesoło. Jeżeli słońce mniej sprzyja: przydrożny zajazd zastępuje namiot, je się dzięki temu nieco cieplejsze potrawy, — na reszcie wypoczynkowego frontu; bez zmian. W ten sposób amatorzy campingu jednego roku objeżdżają Normandię, innego — cieszą urokami Lazurowego wybrzeża; przecież pięknych widoków nie zabraknie do obejrzenia we Francji na całe bodaj życie, a napewno na całą młodość. Toteż znam takich, którzy o innej formie spędzania wakacji słyszeć nie chcą. (Tymczasem!...)

W ogóle namiot okazał się rzeczą równie wygodną, jak i praktyczną. W pełni oceniły [illegible] walory niektóre organizacje samopomocowe (zwłaszcza robotnicze) i rozbiły swe duże, wieloosobowe namioty na nieco odosobnionych plażach, specjalnie sobie przydzielonych. Żyje się tam wprawdzie nieco koszarowo, ale za bardzo tanie pieniądze, a cieszy słońcem i morzem narówni z mieszkańcami najdroższych hoteli. Rodziny mogą sobie wynajmować mniejsze, paroosobowe namioty, naturalnie za nieco wyższą opłatą.

Liczne rodziny, powiedzmy raczej: rodziny za liczne na camping (a o takie nie trudno), najczęściej wyruszają w lecie nad morze. Jeżeli są to ludzie niezbyt zamożni, to zazwyczaj wynajmują oni sobie locum w jakimś skromnym hoteliku, wzgl. mieszkanko w osobnym domku, a system jedzeniowy upraszczają w miarę możności.

Istnieje jeszcze jedna forma letniego wypoczynku nadzwyczaj we Francji rozpowszechniona. Przecież tam, — pamiętajmy, — olbrzymi odsetek mieszkańców miast ma gdzieś niedaleko swej zimowej siedziby własny wiejski domek. Nie jest to właściwie „willa", określenie za luksusowe na skromne dwa czy trzy pokoiki z miniaturową kuchenką, ale jest to miły kącik, zawsze otoczony ogródkiem, wesoły w swej bezpretensjonalności. W zimie poczciwa sąsiadka dogląda domku, za niewielką opłatą podlewa wiosną ogródek, ewentualnie nie zapomina o kilku kurach czy królikach, które w letnim okresie przydadzą się tak bardzo dla urozmaicenia wiejskiego menu.

Poruszyłam już w ogólnych zarysach najczęstsze możliwości indywidualnych wyjazdów wakacyjnych, teraz poświęcić muszę zdań parę wyjazdom grupowym. Oto ustawodawcy socjalni francuscy z chwilą, kiedy zadecydowali o konieczności płatnych urlopów, postawili sobie całkiem logiczne pytanie: kiedy urlop ma rację bytu? Odpowiedź jest prosta: wtedy, kiedy można go rzeczywiście wykorzystać, to znaczy wtedy, kiedy da się osobie urlopowanej materialną możność wyjazdu z miasta i wypoczynku w jak najlepszych warunkach. Akcja stworzenia takich warunków dla klas pracowników umysłowych i fizycznych zatoczyła szerokie kręgi. Problem nie dał się należycie rozwiązać na platformie jednostki, — za podstawę przyjęto grupę. Każda instytucja państwowa czy prywatna, Bank francuski czy sklepik kolonialny pana X. obowiązkową akcją są objęte. Wybudowano, względnie wynajęto odpowiednie hotele w miejscowościach nadmorskich, w górach, w uzdrowiskach. Koleje dawać muszą specjalne zniżki grupom urlopowanych (zniżki te dla rodzin liczniejszych, to znaczy mających ponad dwoje dzieci, są rzeczywiście kolosalne), auta firm przemysłowych czy handlowych obowiązkowo postawione być muszą do dyspozycji i transportu pracowników danych firm. Opłaty za pobyt w wybranej miejscowości są liczone ryczałtowo zarówno dla urlopowanych jak i ich rodzin, — a ponieważ dla każdej z pozycji budżetowych przyjmuje się za podstawę obliczeń nie jednostkę, ale grupę, więc są faktycznie minimalne. Instytucje pracodawcze dbają o wygodę, komfort nawet w tych wypoczynkowych hotelach. Tak więc każdy wykorzystać może przyjemnie i z pożytkiem dla zdrowia własnego i bliskich swój okres urlopowy. Każdy bez wyjątku ma do tego równe prawa. Organizacja taka wydaje mi się być jedną z najcenniejszych zdobyczy francuskiej demokracji, naprawdę godną naśladowania.

Polska forma letniego wyjazdu „na wieś" z tobołkami, pościelą, garnuszkami itd., jest absolutnie nieznana we Francji. Dlaczego ten prymityw nie znajduje tam zwolenników? Primo: jest on mało wygodny, często nawet mało hygieniczny, a rekompensaty sportowej nie daje żadnej; secundo: stanowczo przysparza on więcej kłopotu, niż daje wypoczynku; tertio: francuski „fermier" lubi się czuć panem u siebie, a że na uboczny zarobek przeważnie nie leci, bo go nie potrzebuje, — unika płatnych gości. Jednym słowem ekonomiczne prawo podaży i popytu zadecydowało tu samo.... w sensie wyraźnie negatywnym.

Maria Bursowa

Moda.

Ja lekkomyślna córka mądrego postępu,
Zakochałam się całym sercem w dniu dzisiejszym,
Bezbarwne dni wczorajsze nie mają dostępu
Do serca, które marzy wciąż o czemś piękniejszym.

Dziś — ja Moda wszechwładna jestem panią świata,
Roznosi me rozkazy drużyna skrzydlata,
W lot spełniają je kornych niewolników roje...
I choć mnie świat niewdzięczny o płochość oskarża,
Czyż nie widzi, że czar mój radością obdarza,
Że weselę i życię wierne sługi moje?

Więc nie gańcie mnie, mówiąc, żem żądna nowości,
Bo ja wciąż tylko szukam prawdziwej piękności,
Nieuchwytnej jak szczęście, co się z rąk wymyka,
Jak marzenie, jak młodość, czar wiosny muzyka.

Janina Feldmanowa

Radosna praca

„Idziemy codzień do szkoły,
Nad książką schylamy głowy,
Bo wiemy, że za lat kilka
Musimy stanąć gotowe
Do pracy dla Ciebie, Polsko!".

...Mówił chór dziewcząt Gimnazjum Kupieckiego na prześlicznym wieczorze pod hasłem: „Przy naszych warsztatach pracy" w sali ks. Kuznowicza w dniu 5-go maja.

Radosna jest nasza praca
I miły jest trud nasz codzienny
Bo twórczy jest każdy wysiłek
I w każdym jest zapał płomienny.

...Dopowiadały żółte peruczki zespołu Szkoły Zawodowej Żeńskiej.

W tych dwu fragmentach tekstu pomysłowych inscenizacji, pierwszej p. t. „My młodzi kupcy i bogaciwa ziem polskich", i drugiej, która w „Krakowski wózek" załadowała przedstawicieli wszystkich działów pracy Szkoły Zawodowej, mieści się idea i duch uczelni. Widowisko było niezwykle barwne. Przesuwały się personifikacje naszych ziem i ich bogactw, szło krawiectwo, koronki, haft, bieliźniarstwo, trykotarstwo, gospodarstwo.

„Przecież to najważniejsze", wołał obrazek wykonany przez uczennice Miejskiej Szkoły Przysposobienia w Gospodarstwie Rodzinnym, pokazując racjonalną i nieracjonalną pracę gospodyń domu.

Bogactwem kostiumów olśniewały uczennice Żeńskiego Gimnazjum Krawieckiego Tow. „Ognisko Pracy" w inscenizacji p. t. „Moda zwierciadłem wieków".

Młodzież szkół koedukacyjnych i męskich zobrazowała „Pieśń o Śląsku", „Techniczny młody las", i szereg utworów poetyckich. Wieczór ten był najlepszą propagandą szkolnictwa zawodowego naszego miasta, świadczył o wysokim poziomie artystycznym naszych sfer pedagogicznych.

Widowisko to mogłoby śmiało ukazać się na scenie teatru miejskiego, gdzie możliwości dekoracyjne byłyby dużo większe i jeszcze podniosły barwność całej imprezy.

Szkoda, że premiera przeznaczona dla sfer pedagogicznych nie doczekała się powtórzenia w całości dla szerokiej publiczności.

Efektowne wyniki pracy podziwialiśmy na wyżej wzmiankowanej imprezie; niemniej ciekawe a napewno cenniejsze a efektywne osiągnięcia tych lodaj że w życiu naszym najważniejszych szkół.

Zacznijmy od najstarszej. Średniej Szkoły Zawodowej im. Św. Andrzeja. Nie znaleźliśmy jej w zespole artystycznym „Przy naszych warsztatach pracy", ponieważ w tym mniejwięcej czasie zajęta była młodzież i ciało pedagogiczne z dyr. Michalską na czele przygotowaniem do uroczystości poświęcenia sztandaru, która odbyła się 14-go maja. Uroczystość ta była dobrą okazją do przypomnienia, że szkoła św. Andrzeja opiera się na przeszło wiekowej tradycji Zakładu S.S. Klarysek, który od 1803-go roku wychowuje pokolenia Krakowianek. Od 1930-go roku przekształca się w Szkołę Krawiecką, w tym roku w Gimnazjum. Obecnie co rok opuszcza mury Zakładu od 30—40 absolwentek.

Obok absolwentek tej szkoły, główny narybek czeladniczy w krawieczynie rekrutuje się spośród uczennic Żeńskiej Szkoły Zawodowej. Szereg doskonałych dyrektorek, do których miała i ma szczęście ta uczelnia, którą w tej chwili kieruje p. dr Peterowa, personel nauczycielski wśród którego jaśniała tej miary postać co śp. Helena Witkowska, postawiły szkołę na wysokim stopniu. Z podziwem obserwowałam co rok wyniki prac uczennic na urządzanych tu wystawach, na których dział krawieczyzny nie ustępował wystawom dobrych magazynów, zaś hafty, zdobnictwo nadzwyczaj pomysłowe, bielizna do najwykwintniejszej były na takiej wyżynie, że najwybredniejszy smak nie był nigdy urażony. PP. Szpa

---

Irena Szczepańska

Ca c'est Kazimierz!

Kochany...

Piszę do ciebie na tarasie kamiennego zamczyska okrytego w zewnętrznej formie, a dziecięco prostego w swych wewnętrznych kontrastach i urokach. Pan i władca tego zamku przyleciawszy rano swym własnym samolotem, którym odwiózł obraz na wystawę nowojorską, obiera teraz muszce z delikatnych płatków róż kwitnących na zboczach ogrodu.

Na horyzoncie połyskuje migotliwie Wisła. W kotlinie przysiadło czarujące miasteczko pań, księżyców, dzieciołów i malarzy, jak je charakteryzuje Maria Kuncewiczowa. W kwadracie rynku zebrały się olśniewająco piękne renesansowe domy, obok nędznych lepianek, rozpadających się za lada westchnieniem. Kilka domków śmiesznych i garbatych uciekło na wzgórza i przysiadło wśród bujnych sadów i zielonych wzgórz otaczających wkoło miasteczko. Klasztor, ruiny zamku Esterki i trzy zezwalać krzyże na samotnej górze, dopełniają patetyczności krajobrazu.

Rzeczpospolita malarzy założyła w Kazimierzu swą stolicę, odcięła od wszystkich na świecie. Jedynie beztroska i uczłuzdzki stosunek do człowieka, jaki stwarza pracudzicie artystyczne środowisko, wspólne są Kaźmierzowi z Paryżem.

Na rynku, obok stylowej studni, najsławniejsze kobiety w Polsce, spotykają się przy garnuszkach z poziomkami, lub przy kogutkach. Tarzają się zawzięcie, lub dmuchają ptakom w piórka, chcąc poznać wartość kupowanego towaru.

Od chwili, w której przed laty zachęcony przez Żeromskiego, przybył tu Tadeusz Peruszkowski i rozmiłowany w Kazimierzu utknął w nim na zawsze, można tu spotkać nie tylko najwybitniejszych artystów i literatów, ale i wielkich ludzi z całego kraju. Jeszcze tak niedawno zajeżdżał tu z szumem marszałek Daszyński, budząc zdumienie i podziw wspaniałą limuzyną. Małżonka jego, pani Cecha zapraszała gościnnie na herbatę do domku z najpiękniejszym w Kazimierzu ogrodem. Wspaniały gospodarz, uśmiechnięty i rozradowany, zrywał róże i ofiarowywał je młodziutkim malarkom, bladym ze szczęścia i emocji.

Nigdy nie zapomnę opowiadania pani Marii Kuncewiczowej o tym, jak jej pies zjadł palto marszałka Daszyńskiego. To było naprawdę straszne. Ale to wina Prusza, który tak zajął całe towarzystwo, że nikt nie zwrócił uwagi na psa. A Prusz śpiewał straszliwą balladę o „Wściekłym rycerzu i pięknej dziewicy" Jana Sokolicz-Wroczyńskiego:

*„Raz, gdy za dzikiem pędził w ślad
Napotkał cud dziewicę kwiat,
Prz, z konia zlazł i wnet zaraz
Oświadczył się jej, choć to był las..
O dziewico, o dziewico,
Nie słuchaj, bo to ladaco!
Lecz dziewica, lecz dziewica
Wnet pokochała ladaca...*

A pies w kącie gryzł i gryzł nowiutkie palto marszałkowskie, w którym Daszyński na drugi dzień miał witać parlamentarzystów francuskich.

— Całe szczęście, że to nie była peleryna Zuzi Peruszkowskiej — śmiała się pani Maria — Daszyński wybaczył, ale Zuzia nigdy by nie zapomniała, gdyby jej pies zjadł cudną pelerynkę ze srebrnych lisów.

Pani Kuncewiczowa przyjmowała nas w błękitnym domku otoczonym bujnym ogrodem. Wtedy jeszcze nie posiadała tej wspaniałej willi, którą dziś zamieszkuje. Domek był poprostu uroczy. Pełen świątków, kogutków z gliny, wieńców ze zboża i złotych koni z umarmatowymi prżdżami. Do tego domku uciekała wielka pisarka z gwaru stolicy, by w czterech błękitnych ścianach tworzyć wiele znakomitych książek, w których wiele postaci pochodziło z Kazimierza (Dni codzienne państwa Kowalskich). Książka „Dwa księżyce" opartą jest wyłącznie na malunach kazimierskich. Maria Kuncewiczowa wyglądała jak młoda dziewczyna, szczupła i zgrabna, zawsze dokształcająca ubrana. Jest prosta, naturalna, niezwykle schludna i zgrabna, pełna słodyczy dojrzałości. Tu odwiedzała ją druga znakomita pisarka Maria Dąbrowska.

Gdybyś wraz ze mną przeszedł się wieczorem nastrojonymi uliczkami, usłyszałbyś niejedno, co zadziwiłoby cię jeszcze w tym świecie odartym z wszelkich niespodzianek. Zobaczyłbyś śliczne malarki, posiadające dwadzieścia cztery pary spodni do pyjamy, ale nie mające porządnej koszuli. Widziałbyś słuszące chodzące w cudnych organdynowych sukniach, z kwiatami we włosach, czytające książki francuskie do góry nogami. Spostrzegłbyś ogromne zamieszanie, gdy nadchodzi listonosz prosząc o podpisanie rewepisu, bo choć domek zamieszkuje pięć malarek, nie ma ani jednego ołówka i podpisuje się wreszcie kredką do warg. Ileż to razy śliczne słuszące jeszcze piękniejsze i elegantsze od swych pań jeżdżą na plażę, wracając dopiero na obiad do domu i robiąc wymówki swym paniom, że pieczeń taka twarda, iż żadnym sposobem takiego świństwa zjeść nie można.

kowicz, Szartowska, Birtus-Walczowska, Ligasówna i p. Fedkowicz, artystyczni kierownicy najważniejszych działów z dumą mogą patrzeć na wyniki swoich starań[1]).

Nie sposób nie wspomnieć o chórze tej szkoły, który pod dyrekcją p. Popielówny ma zasłużoną sławę.

Wysoko również postawiony jest dział gospodarczy, który posiada doskonałą specjalistkę od zasad żywienia, znaną czytelniczkom „Wandy" p. K. Bohdanowską. Tutaj ma Szkoła Zawodowa konkurentkę w miejskiej Szkole Przysposobienia w Gospodarstwie Rodzinnym. Wychowała ona już cały szereg doskonałych „Pań domu" i kształci już drugie albo i trzecie pokolenie. Szkoła jest roczna i dostosowana swoim programem do potrzeb gospodarstw domowych. Urządzona w tym roku wystawa pod hasłem „Towarzoznawstwo na usługach Pań Domu" dowodzi ciągłej aktualizacji programu szkoły. Liczne przejrzyste wykresy, próbki towarów, ciekawe zestawienia dowodzą starannego prowadzenia tego działu w szkole. Panie z zaciekawieniem oglądały baterię słoików z konserwami, konfiturami, chlubę uczennic p. Batkowej. Dodać należy, że szkoła obchodziła w tym roku wzruszającą uroczystość jubileuszu p. B. Bieńkowskiej, prekursorki idei racjonalnego kształcenia gospodarczego dziewcząt, założycielki i długoletniej kierowniczki szkoły.

Znakomicie graficznie prezentuje się „Sprawozdanie żeńskiego gimnazjum kupieckiego". Wykresy, statystyki, liczne fotografie pozwalają na szybkie zorientowanie się w programie i rozmachu szkoły. Młode, energiczne kierownictwo w osobie p. Kozakówny, w ciągłym dążeniu naprzód, tworzy z tej uczelni prawdziwą kuźnię pionierek nowoczesnych metod w handlu. Zespół profesorski poziomem dostosowany do wysokich ambicji szkoły: widzimy między innymi nazwisko tak wybitnego towaroznawcy, jakim jest profesor Mysona z Akademii Handlowej. Bogato uposażone pracownie: kupiecka, towaroznawcza, reklamy, przygotowują praktycznie przyszłe pracowniczki handlowe do ich zawodu.

Doskonałe wyniki daje Studium zasad reklamy, pod kierunkiem p. Świerczkowej (na konkursach urządzania wystaw, uczenice biorą stale nagrody). Gimnazjum krakowskie zorganizowało stoisko zespołu młodych w Zakopanem na FIS. Młodzież ma możność wysłuchiwania licznych odczytów gospodarczych na terenie szkoły, utrzymuje kontakt z kupiectwem krakowskim.

Ciekawe są pewne zestawienia statystyczne, które podaje sprawozdanie np.: Z jakich sfer rekrutują się uczenice? Otóż najwięcej przychodzi córek niższych funkcjonariuszy państwowych i komunalnych (85 na 413 wszystkich uczennic), potem idą córki rzemieślników (73), dopiero na trzecim miejscu dzieci kupców. Właściciele ziemscy i realności zaledwie 3-ch uczennic dostarczyli. Wielka masa chłopska — tylko 27. Ale tutaj objawem pocieszającym jest fakt, że o ile w najwyższej 4-tej klasie nie było ani jednej córki włościańskiej, o tyle w najniższej jest ich 17. Z tych kilku cyfr łatwo wywnioskować, jakie warstwy ulworzą trzon naszego stanu kupieckiego w przyszłości.

Zakłady naukowe utrzymują kontakt ze swoimi absolwentkami. Szkoła zaw. żeńska założyła dla nich pracownię krawiecką i haftów (Aleja Krasińskiego), gdzie odbywają one potrzebną do egzaminu mistrzowskiego praktykę. Gimnazjum Kupieckie przez Koło Absolwentek pośredniczy w wyszukiwaniu posad, prowadzi kursa itp.

Oto w krótkim zarysie działalność naszych Szkół Zawodowych, o których tak mówił prolog do „Krakowskiego wózka":

„A wiecie Wy dlaczego tak śmiało
i pogodnie,
Tak radośnie spogląda każda z nas
(przed siebie?
Bo tu z nami jest młodość, to zdobywca świata największy,
Który w herbie ma słońce na niebie.

[1]) Osobiście miałam sposobność przekonać się o wynikach pracy oddziału p. Weglówny, gdy rok temu przypadkowo z powodu jakichś przedwyjazdowych kłopotów z letnią garderobą, dostałam się w ręce uczennicy 3-ciej klasy. Moje wszystkie znajome pytały o adres „znakomitego Magazynu". „Magazyn" miał 15 lat i zamówień nie przyjmował, bo wyjechał na kolonię uczniowską.

Na hamaku widzi się często rozwalonego stroża, który nie ma czasu zamiatać domu, ba pali właśnie papierosa. Inny odźwierny nie nie robi, bo pozuje swemu panu w wielkich laurowych.

Na schodkach klasztoru siedzi ślepy Kozdroń. Biedaczyska czuje się zdetronizowanym królem żebraków, bo już nikt nie chce go malować, jak dawniej.

Do Kazimierza przyjeżdżały również inne pisarki, jak Ewa Szelburg Zarębina, Wanda Melcer, Hanna Mortkowicz i wiele bardzo wiele innych. Trudno wymienić ci mój kochany wszystkie znakomite nazwiska. Bardzo często zjawia się tutaj jedyna w Polsce kobieta burmistrz pani Kelles Kraus z Radomia.

Sławna już dziś dekoratorka paryska Irena Lorentowicz stale na lato zjeżdżała do Marii Kuncewiczowej. Jeśli chodzi o sfery malarskie, były tu niemal wszyscy ci, którzy obecnie są chlubą i dumą naszej sztuki. Wszyscy oni czerpali swe natchnienia w tym romantycznym zakątku.

Pamiętam hal w ruinach zamku, przy świetle księżyca. Zbiegły się najpiękniejsze malarki jako dziewczyny, rycaski, księżniczki lub infantki. Janina Konarska-Słonimska, Bogna Krasnodębska-Gardowska, Zuzia, Reno Lorentowicz i mnóstwo innych czarujących kobiet. Nagrodę za najwspanialszy kostium dostała bezzębka nędzarka Małka, której ojciec wypożyczał kozy do malowania. Małkę przebrał po mistrzowsku Antoni Michalak, słynny obecnie witrażysta. Nikogo to wyróżnienie nie zdziwiło. Bo to jest Kazimierz, jeden jedyny w swoim rodzaju Kazimierz.

Ale miasto to przewiewa porządek rzeczy i wprowadza zamęt w słabe głowy. Małka w kilka lat po tym popełniła samobójstwo, oczywiście z zapoznanej miłości do Kantorowicza.

Kazimierzowi nadaje ton Prusz. Początkowo zjeżdżał do cichego domku z „Braciszkiem św. Łukasza" obecnie do kamiennego zamku z coraz to nowym pokoleniem malarzy. Uśmiechnięty, towarzyski, łysy starszy pan z brzuszkiem. Do szaleństwa rozkochany w Kazimierzu, a Kazimierz w nim. Małżonka Pruszu, Zuzia, biega w oszałamiających kapeluszach sprowadzanych z Hiszpanii, spodniach zszywanych z kolorowych ustasek, zawsze piękna i czarująca. Wygląda, jakby wyrwała się z jednego ze stu obrazów, w których uwiecznił Prusz jej niezwykłą urodę. W „Cichym domku" królowali Cezar pies i kotka Kleopatra. W „zamku" rządy sprawuje spaniel Noc z dwoma żonami Wiedźmą i Fuchsją, ulubieńce Jadwigi Pruszkowskiej, również malarki.

Cóż to była za tragedia, gdy Cezarka kopnęła kraca i biedaczysko na miejscu wyzionął ducha. Zakopano go na cichnym wzgórzu, a Antoni Słonimski napisał epitafium:

Rozmiły was losów dzieje,
Lecz kres jednakowy.
On zginął z ręki Brutusa,
Ty z kopyta kraca.

Właściwie do Kazimierza mam głęboki żal. Tu przeżyłam pierwsze rozczarowanie, zakosztowałam goryczy, która we wspomnieniu przeistacza się w najdoskonalszą słodycz.

Tu w przeogromnym domu Św. Krzysztofa, odbył się mój pierwszy bal. Miałam cieniste warkoczyki z wielkimi białymi kokardami, różową sukienkę z skarpetki. Mimo całego wroku lat czternastu, nikt ze mną nie tańczył. A na kraańcie sali zmęczy dzieno pary, z których każda poszczególna postać stanowiła wybitną pozycję w dziejach kultury i sztuki polskiej.

W przerwie między tańcami, grała prześliczna, młoda dziewczyna w białej tiulowej sukni. Złote rude włosy splecione miała w warkocz. Twarz jej opłynął obłoczek rumieńca. Młodzianka skrzypaczka, to sławna dziś na całą Polskę Eugenia Umińska!

W hafecie Władysław Skoczylas opowiadał ze łzami w oczach Stanisławowi Czaj koriskiemu, jakto było naprawdę na weselu Rydla...

Córka sławnej poetki Bronisławy Ostrowskiej Haliną, obecnie Grabska z czerwonej sukni z herbem w włosach czarowała otoczenie.

A mnie nikt nie prosił do tańca...

Od tej chwili Kazimierz przeistacza się z roku na rok. Dostaje nowe chodniki, hrukują cynek i odmalowują domy. Wszystkie te inscestycje opłacają artyści, a cieszą się z nich konserwatorzy. Wiele budowli przybyło również. Willa prof. Michalaka niezwykle malowniczo położona, domek Szukalskiego, który przyjeżdżał tu ze swą niezwykle oryginalną małżonką i wielkim psem, willa pp. Kuncewiczów i wreszcie dom Pruszkowskiego.

Niejedno pokolenie malarskie przepłynie jeszcze przez romantyczny Kazimierz. Dziwny nastrój tego niezwykłego miasteczka stworzą tu, że uczucia zakwitają tu latwiej i rodzą się wielkie, natchnione miłości. Niejeden poemat powstał w ruinach zamku, piękne sława kwitną na zboczach miasteczka. Trzeba je tylko zrywać.

Siedzę na tarasie, ogarniając spojrzeniem cały krajobraz. Pisze do cichic ten list, by choć w części uzasadnić mój entuzjazm dla tego dziwnego miasteczka. Ale trudno wyrazić to wszystko, co jest barwą, zapachem, melodią i blaskiem. Słownik nasz jest przecież taki ubogi, że chyba nędzniejszy od rozwalonego domku w ciasnej uliczce Kazimierza. Przyjedź i zobacz, a dyskusję zostawimy na potem.

Troja.

LITERATURA

Ukazało się u Krawczyńskiego 3-cie wydanie Iłłakowiczówny „Ścieżki obok drogi". Mamy jeszcze wszyscy w pamięci polemikę która rozgorzała około tej pięknej książki. Nie wchodząc tutaj w zagadnienie po czyjej stronie była słuszność, zaznaczyć trzeba, że postać Wielkiego Marszałka będzie się przedstawiać inaczej każdemu kto tylko zetknął się z nim i obraz jego zachował w pamięci. Ważnym jest to, i najwartościowszym, aby ci którzy wspomnienia swoje o Nim spisywać będą, byli — bezwzględnie szczerzy. Otóż wbrew pewnym zarzutom, Iłłakowiczówna jest szczera. Bez względu na to czy ta szczerość jest dla niej samej pochlebna, czy jest dla jej spraw — korzystna. Czytając po raz drugi książkę, irytujemy się znowu że nie potrafiła dostrzec wielkości sulejowskiej samotni, że tak niedostatecznie odczuwała patos historii. Ale zaraz potem jesteśmy wdzięczni autorce, że ukazując Człowieka, bliższym czyni Bohatera. Wzruszamy się głęboko czytając ten najpiękniejszy opis pogrzebu Marszałka i tak przejmujący w swojej prostocie list o zabójstwie Pierwszego Prezydenta.

Wiele można książce zarzucić. Ale bez niej w długim dziś szeregu prac i wspomnień o Józefie Piłsudskim zabrakłoby kart tchnących tak bardzo serdeczną, ludzką prawdą.

F.

Kazimiera Alberti: *Serce zwierzęce*. Warszawa. Skł. gł. F. Hoesick, 1939. Str. 107, nlb. 1.

Zbiorek trzydziestu kilku wierszy, wydany nakładem Towarzystwa Ochrony Zwierząt w Bielsku i Związku opieki nad zwierzętami w Białej doskonale nadaje się na lekturę propagandową. Będąc jednak dziełem znanej autorki kilku powieści i zbiorów liryków wyrasta ponad literaturę tego typu i ambicjami i rzeczywistym talentem, któremu do wykończenia brak opanowania. Obdarzony gorzką dedykacją *„cieniom ojcu, który zwierzęta bardziej kochał aniżeli ludzi"*, tomik ten nie będąc rewelacją ani treściowo ani formalnie, posiada niewątpliwe zalety. Nie miejsce tu na jego rodowód literacki. Wśród przodków znalazły się i Feliks Konopka i Iłłakowiczówna i zapewne Rilke. Jednakże rysy twarzy tego potomka mają cechy indywidualne. Jedną z najważniejszych jest spojrzenie na zwierzę od zewnątrz jak patrzy przeciętnie człowiek z miasta. Dlatego tytuł „Serce zwierzęce" nie zupełnie trafny. Serce to mocno przypomina serce człowieka a antropomorfizm panuje wszechwładnie w tym świecie zwierząt. Nie radziłabym zestawiać tej „duszy zwierzęcej" z niezapomnianą jej rewelacją u Feliksa Konopki. On w jednym wierszu powiedział więcej o duszy końskiej i ...o duszy ludzkiej, niż p. Alberti w całym cyklu utworów. Dla niego życie konia jest jakby życiem własnym, u niej panuje zawsze nieprzestępny dystans, poszerzony jeszcze licznymi reminiscencjami literackimi. U niego to poważna, głęboka miłość, u niej bardzo często — czułostkowość. Na to nie ma rady. By tak rozumieć konia jak Konopka trzeba z nim żyć od kolebki. Tyle napisała autorka o tym szlachetnym zwierzęciu, a tak mało wyczuła indywidua końskie, tak mało ma odczucia nawet cech rasowych. Gdyby było inaczej, nie czytalibyśmy o arabie, że „jakby go rzeźbiarz z kamienia ukuł", o tym koniu arabskim, który ma wszelkie inne zalety a nie właśnie monumentalność. Niemniej to właśnie spojrzenie na świat zwierząt od strony człowieka, nie od ich strony — mimo przeciwnych zamierzeń i pozorów — ma pewien urok oryginalności. Nigdy prawie zwierzę nie jest u p. Alberti związane z przyrodą. Jej zwierzęta — to zwierzęta w służbie u ludzi, w cyrku, w filmie, w sztuce, w heraldyce. Tam je spotyka i ukazanie ich w ten sposób świadczy o szczerości wypowiedzenia.

Nie na korzyść poetki wypadłoby też porównanie jej łatwo, zbyt czasem łatwo płynących asonansów, jej efektowności, nie zawsze dostatecznie przemyślanego zdobnictwa z oszczędną ekonomią słowa Konopki.

W nielicznych tylko utworach — z reguły krótszych — zdobywa się na potrzebną zwartość. W dłuższych ponosi ją rozlewny patos skąd niekiedy rzeczy tak słabe jak „Koń bohaterów" lub „Koń na wyścigach". Są jednak i u niej utwory pełne świeżości i wdzięku do których zaliczyłabym „Źrebaka" i „Skalną tancerkę" (z wyj. zakończenia), a spotykamy nawet akcenty głębsze jak np. w „Garbie wielbłądzim" lub „Gałązce pokoju". Wiersz ten [illegible] ze względu na bliską może aktualność:

Gdy wrócisz i oczy zasłonisz pod dymu żrący czad
i tylko zobaczysz wokoło zgliszcza i zasieki
i usłyszysz huk armat zgłuszony, daleki,
gdy ci się zdaje, że prawo runęło i pokój i ład —
on już tam czeka, był pierwszy od ciebie po boju,
wyłonił się z potopu: najbielsza gałązka pokoju,
siedzi, znalazł jedyny ocalały złom,
mruczeniem cię zaprasza, byś w tym samym miejscu —
stawiał nowy dom.

Równie udatny, także z wyraźną [illegible] pointą, jest poprzedzający utwór pt.:

BERNARD.

Gdy kurniawa zasypie każdy ślad i trop
między zastygłą ziemią, a ślepym z mrozu sklepieniem,
gdy wzrok nie dojrzy pod sobą nędznych w dolinie szop
a nad głową ni garbu, ni szczytu, ni przełęczy —
toś ty honorem swoim przed czystym, swym sumieniem
za życie człowieka zaręczył!

Z. Ciechanowska.

J. A. Hobart: „Nafta do lamp chińskich". Przełożył Stanisław Warski, Wydawnictwo Książnicy-Atlas, Lwów 1939.

Cronin „Trzy miłości" przełożyła M. Kreczowska.

TEATR

Jola Fuchsówna

Dwie Premiery

Szekspir: „Jak wam się podoba" w przekładzie Adama Polewki. Inscenizacja i reżyseria W. Radulskiego. Dekoracje T. Orłowicza.

„Shakespeare und kein Ende" powiedział Goethe, jakby chcąc tym określić, że Szekspir jest alfą i omegą teatru, że nikt po nim nie potrafi już tak wzbogacić sceny, a wszyscy dramaturdzy czerpią i czerpać będą z niego, jak z wiecznie młodego i szumnego źródła.

Istotnie nikt i nic nie przyćmiło szekspirowskiej sławy. Nikt drugi nie potrafił tak jak on postawić widza twarzą w twarz z poezją, przybliżyć do niego twory wylęgłe w fantazji poetyckiej, raz ponure i tragiczne, raz słoneczne i roześmiane.

Dlatego Szekspir pozostanie zawsze młody i atrakcyjny. Dlatego ujrzeć komedię Szekspira po takiej sztuczce, jak „W perfumerii" Laszla to jak po mentolowej płókance do ust, wypić haust starego doskonałego wina.

„Jak wam się podoba" nie jest może najlepszą szekspirowską komedią, ale niewątpliwie bardzo uroczą. Treść zaczerpnięta z powieści Tomasza Lodge „Rozalinda", który znowuż zapożyczył ją ze starej, wierszowanej opowieści pt.: „Gamelyn". Historia pięknej Rozalindy, co to w męskim przebraniu błąka się po lesie, pociągnęła również Teofila Gautier, który skomponował na tym tle swą niepokojącą „Mademoiselle de Maupin". Ta prześlicznie naiwna historia (w myśl której nikt nie może poznać młodej dziewczyny, dlatego tylko, że włożyła męskie spodnie....) dała Szekspirowi asumpt do zestawienia dwóch światów: dworskiego, pełnego intryg i zawistnych knowań, oraz świata przyrody, w którym panuje niczym niezmącona radość i braterstwo.

Ten idyliczny świat przyrody, to królestwo lasu ardeńskiego (szumiącego zresztą nie we Francji, tylko w hrabstwie Warwick) pozwoliło Szekspirowi puścić wodze swej fantazji poetyckiej. Podobnie, jak w tyle lat później u Mickiewicza kwitną równocześnie w doniczkach astry i... fiołki u Szekspira rosną w tym angielskim lesie palmy i przechadzają się lwy i tygrysy. Ale to wszystko jest bez znaczenia, wobec prześlicznych dialogów miłosnych, jakie wiodą ze sobą Rozalinda i Orlando.

„Jak wam się podoba" wystawił teatr im. Słowackiego w Krakowie w nowym przekładzie Adama Polewki. Nie mogłam się dobrze rozeznać, czy był to całkowicie nowy przekład, czy tylko przerabiany i unowocześniony przekład Ulrycha, lub Antoniego Langego. Z polskich tłumaczów Szekspira, Lange był bodaj czy nie najlepszy. Na ogół największą trudnością dla tłumacza była owa ciągła gra słów, owe czasem dość grube dwuznaczniki, tak modne na dworze królowej Elżbiety, od których roją się poprostu utwory Szekspira. Chcąc oddać wiernie tę grę słów — częstokroć fałszywie pojętą — tłumacze wypisywali straszliwe herezje, których nikt nie mógł zrozumieć. P. Polewka wyszedł z tych rzeczy obronną ręką. Niektóre powiedzenia były nawet bardzo szczęśliwie spolszczone.

Reżyseria i inscenizacja p. Radulskiego była niestety utrzymana w zanadto groteskowym tonie. „Jak wam się podoba" jest piękną bajką — ale nie jest jakimś kabaretem z typu „Sinaja Ptica". Król z bajki nie musi być królem żołędnym, lub dzwonkowym, a jego gwardia to nie małe, ołowiane żołnierzyki... Dekoracje p. Orłowicza pięknie oddały baśniowy i poetyczny charakter komedii — szkoda więc, że reżyser nie poszedł po tej samej linii.

Jest to zresztą częsty grzech reżyserów w poszukiwaniu nowych dróg. W swej recenzji z przed lat czternastu, pisze Boy Żeleński a propos wystawienia tejże komedii w teatrze im. Bogusławskiego w Warszawie: „PP. Schiller i Zelwerowicz, ci dwaj najpracowitsi fanatycy teatru, obrali inną drogę. Z komedii Szekspira zrobili arlekinadę, chwilami tragiczną, chwilami błazeńską, jaskrawą, pstrzącą się cudactwem kostiumów, boksem, jazbandem, etc." Szkoda, że głosy krytyki idą tak często w las!

W tej samej zresztą recenzji podkreśla Boy, że „Jak wam się podoba" należy wystawiać, jeśli się ma czarującą aktorkę do roli Rozalindy. Otóż tę czarującą aktorkę teatr im. Słowackiego posiada w osobie p. Matusiakówny. P. Matusiakówna, która zdobyła sobie pas i ostrogi rycerskie kreacją Ksantypy w sztuce Morstina, była bardzo uroczą Rozalindą, nawpół-kobiecą, na wpół-chłopięcą, dowcipną, poetyczną i rozigraną. Doskonałym jej partnerem w roli Orlanda był p. Modzelewski, który po kilkumiesięcznej chorobie powrócił na scenę w bardzo dobrej formie i pięknie wypowiadał wiersz szekspirowski. Przemiłą i zabawną Celią była p. Pawłowska. Wielką i ważną rolę błazna Osełki powierzono tak niezawodnemu aktorowi, jakim jest p. Fabisiak. Zagrał ją bardzo dobrze. Inni aktorzy borykali się dzielnie z groteskowością swoich postaci.

Chciałabym przy tym zauważyć, że za mało dają nam tego Szekspira. Od kilku lat już obiecują nam „Romea i Julię". Nie powinno to nastręczać zbyt wielkich trudności, gdyż p. Matusiakówna ma wszystkie warunki na Julię. A potężny dramat o Makbecie powinien być chociażby z tego powodu wystawiony, że teatr krakowski posiada wymarzoną wprost tragiczną parę: Lady Makbet — Jaroszewska i Makbeta — Wacława Nowakowskiego. Wyobrażam sobie Makbeta wystawionego na dziedzińcu wawelskim i Lady Makbet snującą się po krużgankach, trąc dłonie, z których nie chce zniknąć

W słońcu....

Upragniony okres wypoczynku, jakim dla każdej z nas są wakacje, powinien być jak najlepiej wykorzystany i to nie tylko jeśli idzie o ogólny stan naszego zdrowia, lepsze samopoczucie, ale i wygląd naszej cery, która zaniedbana przez okres długich miesięcy zimowych, niszczona maquillagiem wymaga troskliwego zajęcia się jej stanem. Najczęściej spotykane dolegliwości cery, to nieprzyjemne opierzchnięcia naskórka, różnego rodzaju pokrzywki i piegi.

W pierwszym wypadku dobre rezultaty powinno dać zmywanie skóry wodą z mlekiem lub mlekiem surowym pół na pół z 40% alkoholem. Przy pokrzywkach tosuje się spirytus salicylowy pół na pół z przegotowaną wodą i kilkoma kroplami soku cytryny i nacieraniem maścią cynkową.

Najgorzej ma się sprawa z piegami. Z domowych środków godnym polecenia jest sok z czarnej rzodkwi zmieszany z mlekiem surowym. Przy silniejszych piegach z alkoholem. Płynem nacieramy skórę parę razy dziennie. Dobre rezultaty dają okładziki z waty nasyconej płynem z świeżego mleka i z łyżek 5% wody utlenionej. Okładziki zostawia się na skórze od 10–20 minut. Drażniące działanie powyższych środków łagodzić można przez smarowanie skóry olejkiem migdałowym lub oliwą.

Działanie słońca nie jest dla żadnej skóry rzeczą obojętną. Kąpieli słonecznych można bez zastrzeżeń używać tylko przy cerze tłustej.

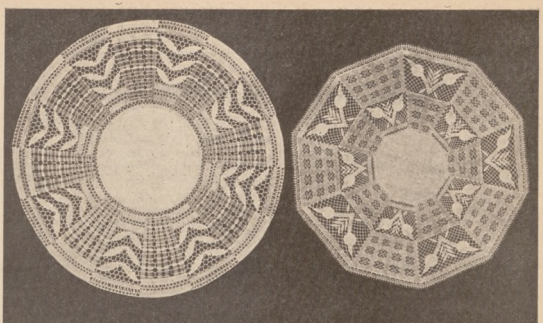

Państwowy Kurs Koronkarski w Zakopanem eksportuje koronki nawet... do Bombaju!

Cerę normalną chronimy przed nadmiernym działaniem słońca, smarując ją kremem lub oliwą. Nie wskazane jest stosowanie kąpieli słonecznej przy skórze suchej, anemicznej, pomarszczonej i tzw. „gęsiej skórce". Wszystkim natomiast bez zastrzeżeń polecić można kąpiele powietrzne, nie wiem dlaczego mało rozpowszechnione i niedoceniane u nas. Do rozpoczęcia kąpieli powietrznych najlepiej nadaje się lato. Zaczynamy od pięciu minut zaraz po wstaniu z łóżka, stopniowo je z każdym dniem przedłużając. Ten rodzaj kąpieli nie wymaga żadnych specjalnych przygotowań. Wystarczy jeśli po przebudzeniu się otworzymy szeroko okno i wszystkie czynności toaletowe jak mycie, czesanie itp. będziemy wykonywać nago. Dobrze jest połączyć kąpiel z szybkim nacieraniem na sucho płócienną rękawicą. Kąpiele powietrzne stosowane przez cały rok hartują organizm, wpływają zbawiennie na wygląd skóry, leczą nerwy, które w wielu wypadkach są podłożem poważnych chorzeń.

---

kreu Banka... Jakież wspaniałe, jakież głęboko przejmujące widowisko...

„Axel" poszedł dramatyczny Villiers de l'Isle Adama. Przekład Zenona Przesmyckiego. Inscenizacja, reżyserja i dekoracje Karola Frycza.

Przez cały ten wieczór zatowałam, że „Axel" nie został wystawiony ubiegłej jesieni, na początku sezonu teatralnego. Byłby się zbiegł z setną rocznicą urodzin autora i miałby z pewnością większe powodzenie, niż w okresie bezpośredniego gniewu, kiedy tenże robił bokami i salwują się wystawianiem komedyj mączynych.

Zwyczajnym zaś powodzeniem „Axelowi" chociażby ze względu na wspaniałe opawy wieczoru, tego trudnego dzieła, które bardziej nadaje się do czytania, niż na scenę. Wystawiając ten poemat dramatyczny Villiers de l'Isle Adama, dyr. Fryc dał po „Fredzie" jeszcze jeden dowód swego kultu dla geniusza francuskiego. Czy „Axel" zdoła zbliżyć go do naszej publiczności — to znowu inna sprawa! Wszakże niedyskretna wzmianka zaznajomiła nas z faktem, że był gany w Paryżu — tylko raz jeden. Inne dramaty tego autora, jak „Haut", i „Bleu" rozwinęły nie mały powodzenie. Natomiast jego proza podjęta, jego „Contes cruels" znajdujące się pod wpływem E. A. Poe'ego, jego „Ève future" czy „Amour supreme" uzyskała ma słuszną reputację mistrza słowa.

August Villiers de l'Isle Adam wywodzi się w prostej linii od Filipa Villiers, wielkiego mistrza zakonu Jaunaitów w Jerozolimie. Ktory walczył przeciwko sułtanowi Sulimanowi i dostał od cesarza Karola V-go wyspę Malte dla swego zakonu. Gdyby więc rzecz w wędrówkę dane, można by upatrzć w ten wielki Maltańczyk rycerkomocał się po czterysta latach w swoim pra-prawnuku. August Villiers de l'Isle miał duszę Krzyżowca, mistycznej i marzycielskiej, która najwyraźniej wypowiada się w mistycznym poemacie jakim jest „Axel", czasem aby rycerskim ideałem w trwaz zmartwiałego wnętrza świata.

Villiers zaczął pisać „Axela" w siedemnastym roku życia. Potem udoskonalał to dzieło posiadły mnóstwo nieługczonej i nieogłoszonej, ale jednocześnie cudownej poetyczność i filozoficzny dialog — dla smakoszów. Przekład Miriama Przesmyckiego oddał po mistrzowsku rasy pięknej i subtelnej.

Kwiczańska Sara de Mauprey wiedzie z klasztoru w dniu obłoczyn, wygnana namiętną miłością do życia. Udaje się na zamek hr. Axela van Auersperg, ponieważ wie o wielkich skarbach ukrytych w czasie wojn napoleońskich w podziemiach tego zamku. Axel, młody samotnik żyjący tylko w towarzystwie swego przeciwnika, mistrza Janusa i wychowany przez niego w pogardzie dla rzeczy doczesnych, wie również o tych skarbach i chrońby je odnaleźć, bowiem wiele jest bardzych i nieszczęśliwych na świecie. Zabija w pojedynku swego kuzyna hr. Kacpra van Auersperg, dlatego, że tam ten chciał się dobrać do skarbów, lecz wzn pełnie innych celach.

Sara i Axel spotykają się w podziemiach zamku, w chwili gdy Sara nieciągnięty ostrzem szpiczku jedną ze ścian natrafia na kryjówkę skarbu, na istny potok złota i biżuterie. To pierwsze spotkanie jest dla nich decydujące. Poczęci ich odnaza ogromna fala miłości, która jednak jest dla Axela „nocą", dla Sary — „spełnienie". Kobieta, wiecznie kobieta, jaką jest Sara chciałaby zagarnąć skarb i pójść z ukochanym w świat przedłuż cudowny bujkę miłości. Jednakże Axel się na to nie godzi. Jego mistyczna natura, czekająca wczęć na jakieś objawienie o żywioną głęboką pogardę dla życia, uważa, że nie większego nie może ich już spotkać, że przeżyli w jednym pocałunku największe napięcie miłości. Proponuje wspólną śmierć i Sara godzi się na to — z miłości.

Porównując się często Axela do Fausta. Jednakże ten ucieczyczny młodzieniec jest raczej przeciwieństwem tamtego, który powiedział „zum Augenblicke mach ich sagen verbleibe doch, du bist so schon!" Axel nie wierzy w możliwość trwania tego, co jest piękne i woli się wyrzec życia, niż zniżyć swej lot. W jego gorzkiej pogardzie doczesności są raczej akcenty Hamleta. Ostatni akt w zaradnych skarbami podziemiach miał coś z opery wagnerowskiej. Może to wpływ wielkiej przyjaźni, jaka łączyła autora z Ryszardem Wagnerem?

Teatr krakowski wystawił ten dramat imponująco. Reżyser, inscenizator i dekorator w jednej osobie, to jest dyr. Fryc dał olśniewające ramy temu trudnemu utworowi. Pierwszy akt, który ma najwięcej akcji i napięcia (scena obłoczyn w klasztorze) wypadł doskonale, późniejsze sceny w zamczysku Auerspergów, zwłaszcz ze sceną odkrycia skarbu w podziemiach, wzbudzały oczy swą dekoracyjnością.

P. Czajkowski zagrał trudną rolę Axela targanego swym wahaniem życiowym, więcej znakomicie. Jest to aktor, który czuje się doskonale w rolach „kostumowych", ma ogromnie dużo szlachetności w mowie i gestach. Będziemy odczuwać jego brak na scenie krakowskiej, którą opuszcza dla teatru Narodowego w Warszawie.

Demoniczną Sarę de Mauprey grała p. Jaroszewska. Fantazja autora chciała, żeby kaszaczka skuszeniła się tylko w I-szym i w ostatnim akcie. W pierwszym akcie, w scenie obłoczyn, artystka ma wypowie dzieć tylko jedno słowo: „nie". Pomimo zaciśniętych warg, pomimo braku żywego słowa Jaroszewska zagrała tę scenę wspaniale: wyglądała jak żywy posąg bestu. W IV akcie, artystka miała do zagrania wielką scenę miłosną i wygrała ją z najwyższym artyzmem.

Czarny charakter Kacpra v. Auersperga wydatnił się doskonale w interpretacji p. W. Nowakowskiego. Na duże uznanie zasługuje p. Kłosiński w roli Księcia i p. Kozborski jako archidiakon. Drobny wzrostczy element wnosił p. Possart jako pan Jakko. Dobrze zagrały swe role młodych zaloonnie pp. Arczyńska i Rodowicz, tak jak bardzo dobrym starym wojami były pp. Opalińskiej, Sienowski, Kuczkowski i Muzaniek. Mistrz Janus p. Woźnika nie był przekonującym.

Z. Szydłowska

Wakacje na obozach P. W. K.

Zrozumiano to wreszcie, że wakacje nie są synonimem próżniactwa, a odpoczynek nie oznacza zupełnej bezczynności. Zdajemy sobie z tego sprawę, że prawdziwym wytchnieniem dla człowieka pracującego umysłowo czy fizycznie, to nie jest wcale „dolce far niente", owijane najczęściej nudą nie do zniesienia ,lecz przede wszystkim zmiana trybu życia, zmiana zajęć, wrażeń, otoczenia.

Lato najtrudniej do zniesienia w murach miasta, przeznaczono dla ogółu społeczeństwa na czas urlopu i wakacji, a kto sam nie umie nadać sensu i treści tym paru tygodniom odpoczynku, temu dopomagają w ułożeniu programu najróżniejsze stowarzyszenia, czy to turystyczne, czy społeczne. Stąd nasze „wczasy robotnicze" i t. p., włoskie „Dopo lavore", niemieckie „Kraft durch freude" i t. p.

Młodzieży nudzącej się dawniej podczas wakacji u boku starszych, pozbawionej należytego „wyżycia się", wrota do nowych, pełnych uroku przeżyć otworzyły obozy stałe, czy wędrowne, wycieczki górskie i rzeczne, podróże krajoznawcze. Wakacje spełniają dziś swe zadanie, gdyż dają młodym zdrowie, silne wrażenia, rozszerzają zakres ich wiadomości, budzą nowe zainteresowania, a ciężka nieraz obozowa praca dla młodzieży nieprzyzwyczajonej do wysiłku fizycznego, uczy ją cenić pracę rąk.

I dla starszego pokolenia nie jest rzeczą obojętną jaką treść nada tygodniom wypoczynku, oderwania od stałego zajęcia. Te wolne dni muszą nie tylko dać zapas zdrowia, lecz pewną sumę zadowolenia, optymizmu, radości, które pozwolą później przez długie miesiące bez szemrania oddawać się — często bardzo — monotonnej pracy zarobkowej.

Tegoroczne wakacje powinny być bardzo poważnie i mądrze obmyślane, gdyż czekają nas najprawdopodobniej ciężkie czasy. Żyjemy ciągle pod grozą wojny i te miesiące ,tygodnie czy dni, które nas od niej dzielą, muszą nam nie tylko dać zapas zdrowia, wzmożenie sił fizycznych i mocy duchowej, lecz istotne przygotowanie na okres ewentualnej wojny. Nie wolno pozwolić dziś sobie na lenistwo zupełne, a przede wszystkim kobiety muszą zdać sobie dokładnie sprawę, że czekają je trudne do spełnienia zadania, że muszą nauczyć się wiele, by uzupełnić braki i luki w przysposobieniu do obrony kraju.

Organizacja P. W. K. przygotowała szereg obozów-kursów, które pozwolą na wyzyskanie wakacji celem odpowiedniego przeszkolenia kobiet z wyższym i średnim wykształceniem, kobiet stowarzyszonych i niestowarzyszonych.

Kursa na obozach odbywają się w różnych, pięknych okolicach, w kilku turnusach, tak, że dostępne są dla wszystkich kobiet, którym nie jest obojętna sprawa obrony Państwa.

Kursy instruktorskie odbędą się na Pomorzu w Garsznie, kursy przysposobienia dla służb pomocniczych w Koszawnikach koło Grodna i w Redłowie na Pomorzu. Obozy społeczne wyjeżdżają na Łemkowszczyznę.

Zadaniem obozów społecznych jest praca kulturalno-oświatowa wśród ludności wiejskiej, pomoc higieniczno-sanitarna, pomoc w gospodarstwie domowym i w polu, zaznajamianie tamtejszej ludności z innymi dzielnicami Polski poprzez tańce, pieśni, inscenizacje i t. p. W obozach społecznych mogą brać udział członkinie starsze Kół lokalnych, P. W. K., akademiczki bez żadnego wyszkolenia celem uzyskania specjalności, uczennice liceów, uczestniczki hufców szkolnych. Kursy dla kierowniczek Pogotowia Społecznego przy powiatach odbędą się w Spale.

Dla mieszkanek województwa krakowskiego ważną jest wiadomość, że Okręgowa Rada Społeczna w Krakowie urządza w lipcu obóz dla członkiń Kół P. W. K. w Niedźwiedziu koło Mszany Dolnej w Domu Wł. Orkana. W ramach obozu odbędą się kursa przysposobienia do obrony kraju, administracji wojskowej w dziale żywnościowym i kurs dla pielęgniek. Wszelkich wyjaśnień w sprawie kosztów, ekwipunku, terminów kursów, udziela Komenda Okręgu P. W. K. w Krakowie, ul. Zwierzyniecka 26 i Komenda Naczelna w Warszawie, ul. Bol. Prusa 2.

Widzimy, że Organizacja P. W. K. obmyśliła dokładnie rodzaj obozów i kursów, tak, by poza nauką, każda z uczestniczek mogła skorzystać z pobytu w pięknej okolicy, i znaleźć się w nowym otoczeniu.

Kilka godzin przeszkolenia fachowego nie znęcy nikogo, a da pełne zadowolenie każdej kobiecie, że nie straciła czasu, nabrała sił, zahartowała się fizycznie i duchowo, da jej tak wiele warte uczucie pewności, że jakiekolwiek przyjdą czasy, zastaną ją przygotowaną i odporną, że wiara jej we własne siły oparta jest na istotnych potrzebnych wiadomościach, zdobytych w organizacji, która jest organem wykonawczym ustawy o powszechnej, dobrowolnej służbie pomocniczo-wojskowej kobiet.

Obozy letnie Organizacji P. W. K. powinny być wypełnione do ostatniego miejsca.

K. Bohdanowska

Wytyczne ekonomicznej gospodarki żywnościowej

Niedostateczne i niewłaściwe odżywianie szerokich mas społeczeństwa w szczególności dzieci i młodych matek w czasie ostatniej wojny, wpłynęło bardzo ujemnie na rozwój fizyczny i stan zdrowia pokolenia powojennego. Niewłaściwe odżywianie spowodowane zostało nie tyle brakiem w podaży zasadniczych produktów ile nieznajomością podstawowych zasad odżywiania i potrzeb organizmu ludzkiego. Aby uniknąć podobnych błędów na przyszłość, błędów, które obniżyć mogą znacznie sprawność fizyczną, co zatem idzie i wartość moralną przyszłych pokoleń, właściwe organizacje kobiece starają się obecnie spopularyzować sprawę racjonalnego odżywiania — i to w specjalnie trudnych gospodarczo warunkach — wśród najszerszych warstw kobiecych.

Organizm człowieka potrzebuje do swego rozwoju budulca, który w jakości najlepszej znajduje się w mięsie, mleku, serze, jajach, soji, a w gatunku nieco gorszym i niewystarczającym w produktach pochodzenia roślinnego jak groch, fasola, soczewica, mąka razowa, grzyby, orzechy. Budulec niepełnocenny może być uzupełniony przez dodanie nawet małej ilości produktu zawierającego cenny budulec np. chleb razowy zyskuje na jakości budulcowej przez podanie go z mlekiem.

Do wytworzenia w ustroju ludzkim ciepła potrzebne są tłuszcze, z których najbardziej wartościowym jest masło podawane w stanie surowym.

Potrzebnej energii i siły dostarczają człowiekowi produkty takie jak mąka, kasze, groch, fasola, ziemniaki, cukier.

Organizm ludzki potrzebuje jeszcze do swej budowy soli mineralnych, które wchodzą w skład wszelkich tkanek, są podstawą kośćca i krwi. Najważniejsze z nich to sole wapnia znajdujące się głównie w mleku, serze, migdałach, orzechach laskowych, ogórkach, pomarańczach, żółtku — sole fosforu w jarzynach strączkowych, mięsie — sole żelaza w chlebie razowym, jarzynach zielonych i produktach mięsnych.

Do utrzymania życia, zabezpieczenia przed chorobami zakaźnymi, krzywicą i cherlactwem, niezbędne są witaminy, składniki surowych jarzyn i owoców oraz nabiału.

Na podstawie znajomości potrzeb organizmu można racjonalnie zestawić całodzienny jadłospis pamiętając, aby w ciągu dnia dostarczyć żywionym w potrawach wszystkich potrzebnych grup pokarmowych.

Poza znajomością wartości odżywczej produktów potrzebna jest jeszcze umiejętność takiego obchodzenia się z nimi podczas przyrządzania, aby nie z tych wartości nie zniszczyć a nawet zwiększyć ich strawność i przyswajalność. Podczas przyrządzania potraw najwięcej niszczy się białko, wartość witaminowa i wartość mineralna produktów. Niektóre białka rozpuszczają się w wodzie, inne w słabych kwasach lub roztworze soli. Witaminy jedne rozpuszczają się w wodzie, inne w tłuszczu, inne są wrażliwe na działanie wysokiej temperatury, inne znowu są wrażliwe na ogrzewanie powolne przy dostępie powietrza. Składniki mineralne przedostają się do wody podczas moczenia produktów.

Chcąc zatem możliwie najmniej zniszczyć w przyrządzanych produktach składników odżywczych należy: c. d. Nr 13.

PANI U SIEBIE...

Maria Batkowa

Konserwy wiosenne i letnie

Skrzętna gospodyni zaopatruje swoją spiżarnię w konserwy wiosenne, letnie i jesienne, by podczas długiej zimy pożywienie nie było monotonne z powodu braku świeżych owoców i jarzyn.

Konserwowanie polega na zabezpieczeniu produktów spożywczych przed bakteriami znajdującymi się w powietrzu, które powodują niepożądane ich zmiany, a często zupełne zepsucie.

Gospodarcze korzyści konserwowania polegają: 1) na oszczędności i wygodzie, bo przez umiejętne zachowanie produktów sezonowych możemy mieć w ciągu całego roku owoce i jarzyny z własnej spiżarni.

2) Higiena zdrowia też z tego korzysta, bo w ciągu całego roku możemy stosować każdą dietę.

3) Na wypadek wojny mamy w szczelnie zamkniętych naczyniach konserwy zawsze zdatne do użycia (niezakażone).

Hermetyczne zamknięcie słojów może być: 1) przy pomocy wieczka, gumy i przycisku w słojach „Konserwa" i „Wecka", 2) pakiem; 3) papierem pergaminowym lub szklanym (celofan) poprzednio zmoczonym by lepiej przylegał i przymocowanym przez kilkakrotne okręcenie cienkim sznurkiem; 4) korkiem i lakiem; 5) zalutowanie puszki blaszanej.

Ze względu na porę roku rozróżniamy konserwy wiosenne, letnie i jesienne. Obecnie winny być zakonserwowane jarzyny sezonowe (szparagi, groszek cukrowy), oraz jagody i owoce, których zbiór szybko mija (truskawki, porzeczki, agrest, wiśnie, czereśnie, morele i róże).

Konserwy wiosenne nastręczają gosposiom dużo trudności i często się nie udają, gdyż podpływają do góry, fermentują lub pleśnieją.

Niedoświadczone gospodynie nie zdają sobie sprawy z różnicy jaka zachodzi między jagodami i owocami letnimi, zawierającymi dużo wody a mało cukru (warunki sprzyjające fermentacji) a jesiennymi wyprażonymi w ciągu długiego okresu czasu ciepłymi promieniami słońca o dużej zawartości cukru a znacznie wyparowanym zapasie wody.

Z małymi wyjątkami możemy ze wszystkich owoców i jagód przyrządzać następujące konserwy: konfitury, galarety, kompoty, marmolady, dżemy, powidełka i soki. Zasadniczą różnicą między tymi odmianami jest ilość cukru w stosunku do owoców i sposób jego dodawania,

a) w postaci syropu (konfitury, kompoty),

b) wprost do konserwy (marmolady, dżemy, powidła).

Największej ilości cukru wymagają konfitury, bo syrop musi być gęsty do nitki w stosunku 1 cukru na 1 kg oczyszczonego owocu. Owoc obmyty w alkoholu (truskawki, poziomki, maliny), lub w wodzie bieżącej (agrest, porzeczki oraz wiśnie, czereśnie, morele przed drylowaniem), należy gotować na ostrym ogniu przez 3 min., potrząsając rondlem, bez użycia łyżki, która owoc rozgniata. Jagody i owoce należy pozostawić w syropie do drugiego dnia aż cukier wchłoną, a potem odcedzić, syrop wygotować do nitki, delikatnie złożyć jagody i znów smażyć 3 minuty. Czynność tę powtórzyć przez 3 dni, aby pod wpływem cukru, jagody i owoce wydzieliły wodę, a absorbowały cukier aż do stężenia, przez co osiągają piękny kształt, kolor i odporność na rozgotowanie. Potem tak wysmażone owoce przełożyć bez syropu do słojów, pozostawiając górą wolną przestrzeń z powietrzem, słoik zamknąć szczelnie i konserwę sterylizować. Według prawa rozszerzalności ciał pod wpływem wysokiej temperatury ogrzane powietrze wydostaje się ze słoja a po oziębieniu objętość jego zmniejsza się skutkiem czego zostaje słoik silnie zamknięty. Na konserwy najlepiej używać słoików małych na jednorazowe użycie, gdyż słój otwarty umożliwia dostęp bakteriom, które niszczą konserwę, a nie każda gospodyni ma czas i dobrą wolę sterylizować resztę pozostałą w słoiku. Przy sterylizowaniu należy pamiętać, że konfitury sterylizuje się 3—5 minut licząc od zagotowania,

kompoty 20 minut,

marmolady, dżemy i soki 30 minut,

a konserwy jarzynowe 30—45 minut.

Sterylizowanie odbyć się może w aparacie Wecka lub w zwykłym garnku o podwójnym dnie, byle tylko konserwy izolowane były od siebie sianem, słomą, albo zwyczajnym papierem. Słoje należy dobierać równe co do wysokości, gdyż woda w garnku sięgać musi do 3/4 wysokości najniższego słoja oraz jednakowe co do zawartości ze względu na czas sterylizowania, aby krótko gotujących się nie rozgotować. Sterylizowanie konserw odkrył Szwed Franciszek Appert w 1804 r. W Paryżu założył pierwszą fabrykę konserw a od Rzadu Francuskiego otrzymał wysokie odznaczenie i roczną rentę. Sterylizowanie znalazło szerokie zastosowanie nie tylko w fabrykach konserw, lecz także w medycynie do wyjaławiania przyrządów i opatrunków chirurgicznych.

Gotowe konserwy należy przechowywać w spiżarniach suchych, chłodnych i przewiewnych i kontrolować przez 14 dni.

I. **Konfitura z truskawek** (przepis) 5 kg truskawek obrać z listków obmyć w spirytusie, włożyć do syropu wygotowanego do nitki, zrobionego z 4 kg cukru i 1 litra wody, gotować 3 min., potem powtórzyć to gotowanie przez 3 dni a 4-go ułożyć truskawki bez syropu w słojach, zamknąć szczelnie i sterylizować 3 minuty.

W ten sam sposób robi się wszelkie konfitury.

Konfitura z róży. Różę cukrową oczyścić z dna kwiatowego i pręcików przez oderwanie lub obcięcie, następnie zważyć same listki, wziąć taką samą ilość cukru a na 1 kg sok z 3 do 4 cytryn. Różę przepuścić przez maszynkę, dodać cukier i sok z cytryny, ucierać pół godziny, ułożyć w słojach, zamknąć szczelnie i sterylizować 30 minut. Tak przyrządzona konfitura zachowuje kilka lat świeży wygląd i silny aromat (Uważać aby maszynka nie była zniszczona, bo róża zczernieje! Przyp. Redak.).

II. **Galarety owocowe**

są to właściwie soki owocowe przecedzone przez gęstą serwetkę z dużą ilością cukru wygotowane do gęstości. Galarety robi się z jabłek, malin, porzeczek, borówek, agrestu, berberysu, żórawin a często mieszane z dwóch owoców lub jagód. Galarety są wówczas zdatne do użytku, jeżeli kropla wrzącego płynu stanie bez rozlewania się. Galaretki tak gęste, należy nakładać ciepłe do małych słoików, zamknąć szczelnie i sterylizować 15 minut.

III. **Kompoty**

różnią się od konfitur małą ilością cukru i prostszym sposobem przyrządzania. Cukru liczy się 1/5 część ciężaru oczyszczonych owoców np. 5 kg ber obranych ze skórki i łupinki po wydrążeniu środków gotować do miękkości na syropie zrobionym z 1 kg cukru plus 1 litr wody. Gruszki miękkie ułożyć ciasno w słoju, zalać tym syropem, zamknąć szczelnie i sterylizować 20 minut.

W ten sam sposób robi się wszystkie kompoty.

IV. **Marmolady i powidła.**

Są to masy owocowe, które otrzymuje się przez rozgotowanie owoców obranych ze skórki i pestek (marmolady) lub ze skórkami i pestkami (powidła) potem przetarte, do których dodaje się cukru 1/8 część ciężaru (np. 8 kg oczyszczonych owoców 1 kg cukru bez wody). Należy pamiętać, że cukru dodaje się po zagęszczeniu masy owocowej, gdyż z dodatkiem zawczesnym cukru, łatwo się przypala, oraz że do słojów i garnków należy ładować ciepłą marmoladę, gdyż ubija się silnie, podczas, gdy w zimnej tworzą się jamy z powietrzem i bakteriami, skutkiem czego konserwa w tych miejscach łatwo pleśnieje. Marmolady mogą być jednolite lub z kilku owoców pomieszane, np. 2 kg jabłek, 2 kg śliwek węgierek, 4 kg pomidorów plus 1 kg cukru pudru przesianego.

V. **Dżemy**

są to dwie marmolady połączone razem, z których jedna jest gładka, a druga w cząsteczkach np. marmolada z jabłek plus smażone brusznice, albo marmolada z moreli plus pigwa smażona.

VI. **Soki.**

Mamy ich trzy rodzaje: 1) gotowane czyli syropy, (po usunięciu konfitur), 2) soki sfermentowane (owoc przesypywany cukrem pudrem, umieszczany na słońcu, celem odciągnięcia soku z owocu, 3) soki sterylizowane, najrzadziej wyrabiane. Przy wyrobie tych soków nie wolno dopuścić do fermentacji tj. rozkładu cukru na alkohol i kwas węglowy, lecz należy jak najszybciej odcisnąć sok owocowy przy pomocy prasy, dodać 1/5 część objętości cukru np. 1 litr soku 20 dkg cukru, zagotować, zlać do butelek i sterylizować 30 minut.

Truskawki aromatyczne.

Do butelek lub słojów nałożyć obmytych w spirytusie (alkoholu) truskawek, przesypując je cukrem w stosunku 1 : 70—75 (np. 1 kg truskawek a 75 dkg cukru pudru przesianego). Flaszkę zamknąć i sterylizować 10 minut.

Truskawki jak świeże tylko nieco bledsze.

W ten sam sposób robi się konserwę malinową, poziomkową lub borówkową.

Nalewka wiśniowa (doskonała).

5 kg wiśni (bez ogonków) opłukać w wodzie bieżącej i odsączyć. Potem wiśnie wsypać do butli naprzemian z 2 i pół kg cukru pudru. Wszystko zalać 4 l spirytusu czystego i zostawić zakorkowaną butlę 6—8 tygodni.

Nalewka gotowa gdy alkohol i cukier tak przetrawi wiśnie, że zostaną pestki powleczone skórką, bez miąższu.

Nalewkę dać do butelek i podawać bez domieszki wody lub syropu.

A. Mysonowa

Płynne owoce

W ostatnich czasach pojawiły się w handlu w większych ilościach bezalkoholowe napoje owocowe pod nazwą „owoce płynne". Dziwna ta nazwa — niewiadomo przez kogo utworzona — ma klienta przekonać, że sprzedawany przetwór owocowy zawiera wszystkie te składniki odżywcze, które znajdują się w owocach.

Cóż to jest owoc płynny? — Jest to sok wyciśnięty z owoców czyli moszcz, specjalnie przygotowany przez rozcieńczenie wodą, dosłodzenie wzgl. dokwaszenie i pasteryzowanie.

Owoców płynnych nie należy mieszać z moszczami owocowymi. Czysty moszcz owocowy zawiera albo mało cukru albo za dużo kwasów i dlatego nie odpowiada wymaganiom smakowym stawianym napojowi. Wyjątek stanowią moszcze z jabłek, które przy odpowiednim doborze odmian, dają bez wszelkich dodatków wspaniały napój. W większości jednak wypadków, aby z naturalnego moszczu otrzymać napój zachodzi potrzeba dodania wody, cukru, kwasu i ewentualnie nasycenie dwutlenkiem węgla, tak jak wody sodowej.

Do wyrobów owocowych płynnych nadają się prawie wszystkie owoce, a więc: jabłka, wiśnie, jeżyny, maliny, poziomki, truskawki, porzeczki, żurawiny, borówki. Odnośnie żurawin, to należałoby na nie zwrócić baczniejszą uwagę, gdyż w razie braku cytryn (na wypadek wojny) sok żurawinowy doskonale je może zastąpić ze względu na smak, oraz na zawartość podobnych składników cytryny a w szczególności witamin. C.

Niektóre owoce, które nie posiadają kwasu owocowego względnie mają go bardzo mało, nie nadają się do wyrobu owoców płynnych, mogą być jednak przerabiane z innymi owocami. Do takich należą gruszki, czereśnie, jabłka słodkie. Nie nadają się zupełnie śliwki.

Każdy owoc ze względu na swoiste cechy wymaga indywidualnego traktowania przy wyrobie owocu płynnego, da się jednak ustalić pewna wspólna technika otrzymywania. Wyjściowym materiałem do wyrobu płynnego owocu jest moszcz czyli sok wyciśnięty ze świeżych owoców.

W celu wydzielenia moszczu, owoce najpierw się miażdży, a potem wyciska. Rozgniatanie owoców ma na celu ułatwienie wyciskania soku z owoców. Z owoców pestkowych (np. wiśnie) najpierw trzeba usunąć pestki. Do rozdrabniania owoców ziarnkowych (np. jabłka) można użyć tarki, przy pomocy której owoce zamieniają się na roztartą masę. Najlepszymi przyrządami do

mielenia owoców są specjalne młynki. Najprostszą maszynką do wygniatania soku z owoców w użyciu domowym jest maszynka „Tutti-Frutti", znana dobrze Paniom Domu. W przedsiębiorstwach przemysłowych mają zastosowanie prasy dźwigniowe, śrubowe i hydrauliczne. Z rozgniecionych owoców uzyskuje się moszcz owocowy przez prasowanie.

Przy wydobywaniu moszczu z owocu należy dążyć, ażeby jak najwięcej substancji odżywczych przeszło z surowca do moszczu. W tym celu po wyciśnięciu soku pozostałość czyli t. zw. młóto zalewa się wodą i wyciska powtórnie. W razie potrzeby zabieg ten należy powtórzyć nawet kilka razy. Ilość otrzymanego moszczu waha się od 55—95%, zależnie od gatunku wyciskanego owocu. Najwięcej moszczu dają czarne jagody, porzeczki białe i jeżyny, najmniej jabłka (55—75%).

W moszczu znajduje się dużo składników stałych czyli t. zw. osad, dlatego należy go oddzielić od płynu. W tym celu dobrze jest moszcz podgrzać do temperatury około 50° C., a następnie pozostawić w spokoju przez kilka godzin najlepiej w zimnej piwnicy. Po ustaniu się, zlewa się płyn ostrożnie z nad osadu. Do tego celu najlepiej użyć lewaru, zrobionego z węża gumowego.

Uzyskany czysty moszcz „doprawia się". Doprawianie polega na dodaniu wody, cukru lub kwasu, co uskutecznia się po przeprowadzeniu prób smakowych z małymi ilościami moszczu. Rozcieńczeniu wodą podlegają moszcze zbyt słodkie, gęste oraz zbyt kwaśne. Dosładzanie odbywa się przez dodanie do soku cukru w formie syropu (2,5 kg cukru na 1 l. wody). Do dokwaszania używa się kwasu cytrynowego lub winowego.

Aczkolwiek istnieje cały szereg przepisów, dotyczących otrzymywania owoców płynnych, to jednak zawsze należy pamiętać, że nie należy nigdy trzymać się niewolniczo przepisu, gdyż mamy tu do czynienia z owocami, których wartość zależy od całego szeregu czynników, jak: stopnia dojrzałości, pory zbioru, odleżenia się itd. Specjalnie przy doprawianiu moszczu kierować się należy przede wszystkim próbami smakowymi.

Doprawiony moszcz stanowi już gotowy do spożycia napój. Napój ten rozlewa się do ciemnych butelek, które chronią przed ujemnym działaniem światła. Butelki zamyka się nowymi korkami.

Celem utrwalenia owocu płynnego nie wolno dodawać żadnych chemicznych środków konserwujących, lecz należy owoc płynny poddać pasteryzacji. Pasteryzacja jest to wyjaławianie produktów (zniszczenie bakterii) w temperaturach niższych od 100° C. Ponieważ w czasie ogrzewania ciecz powiększa swoją objętość, dlatego butelki nie mogą być całkowicie wypełnione, lecz należy pozostawić wolną przestrzeń najmniej 8 cm., licząc od powierzchni płynu do korka. W przeciwnym razie korki będą „strzelać".

Butelki z owocem płynnym, który mamy pasteryzować ustawia się w dużym garnku, kotle lub aparacie Wecka, a ponieważ nie mogą bezpośrednio dotykać dna, przeto ustawia się je na podstawie z deski lub w sianie w ten sposób, żeby wzajemnie się nie stykały. Butelki pogrąża się w wodę, nagrzaną uprzednio do 30° C. Gdy temperatura wody dosięgnie 65° C. notuje się czas i trzyma kocioł na blasze przez pół godziny, utrzymując stale ciepłotę nie wyższą, niż 70° C. Po skończonej pasteryzacji, butelki wyjmuje się niezwłocznie do ostudzenia, a korki oblewa się parafiną lub woskiem, albo lakuje.

Owoce płynne przechowuje się w miejscach chłodnych, najlepiej w pozycjach stojących, ażeby powstające ewentualnie męty zbierały się na dnie.

Owoce płynne nie powinny być sztucznie barwione. Zwrócić na to trzeba baczną uwagę przy zakupnie w sklepie wyrobów fabrycznych. W razie sztucznego barwienia będzie to zaznaczone na etykiecie słowem „barwione" lub literą „B". Oznaczanie powyższe jest nakazane ustawowo.

Płynne owoce posiadają własności orzeźwiające, wzmacniające i lecznicze. Można je pić ciepłe, zimne, mrożone, z wodą mineralną, z mlekiem. W kuchni mają zastosowanie przy wyrobie sałatek, galaretek, sosów, zup, przypraw, lemoniad, kwasów itp.

Koszt wyrobu 1 l. płynnego owocu wynosi około 1 zł.

Wartościowym produktem, a prawie że nieznanym jest przetwór zwany „płynnym warzywem", otrzymuje się go w podobny sposób jak owoc płynny, tylko oczywiście surowcem używanym do przeróbki będą warzywa i jarzyny. Płynne warzywa są to odpowiednio zakonserwowane soki: szpinaku, szczawiu, sałaty, selerów, marchwi, buraków, brukwi itp. Z poszczególnych gatunków warzyw i soków uzyskuje się sok w taki sam sposób jak z owoców, „doprawia się" go i poddaje pasteryzacji.

Płynne warzywa mają również i tę zaletę, że jako wyciąg można je spożywać w mniejszej ilości i tak: 1/8—1/4 l. takiego płynu może zastąpić około 1/2 kg świeżych warzyw i jarzyn (marchew).

Zioła lecznicze można również konserwować w formie „płynnych ziół", sposobem takim samym jak płynne owoce.

Maria Kreutzowa

Bezcukrowe konserwowanie owoców

Konieczność dużego, jednorazowego wydatku na cukier w czerwcu czy lipcu ostudzała nieraz wydatnie zapał przetwórczy gospodyń i nie pozwalała im wykorzystać sezonową taniość surowca owocowego. Natomiast metodami przetwórstwa bezcukrowego można zakonserwować na zimę znaczne ilości owoców, — zachowując przytem całą ich wartość witaminową — cukier zaś dodajemy wedle smaku i potrzeby, stopniowo w miarę zużywania przetworów. Tym nowym sposobem przygotowane przetwory owocowe stają się na długie miesiące zimowe skarbnicą życiodajnych witamin, które są niezastąpionym źródłem zdrowia i sił dla naszych pensjonariuszy domowych, dla dzieciarni, rekonwalescentów, wątłych czy starców.

Przetwórstwo bezcukrowe polega na: 1) Wyjałowieniu surowca owocowego od zarodków fermentów, pleśni i zgnilizny, przez ogrzewanie go do temper. 80—85° C, w której te zarodki giną; 2) zachowaniu żywotności witamin — przez utrzymanie surowca przez cały ciąg procesu tylko w temper. 80—85° C — gdyż w wyższej temper. witaminy giną a konserwy owocowe stają się wtedy bez wartości. — Dobry rezultat pracy osiąga się starannością i precyzją wykonania i jeśli się tak wyrazić można, inteligentnym podejściem do całego zagadnienia. Trzeba zrozumieć, że opracowane metody są rezultatem poważnych badań (prof. Mehring — Warszawa) i najnowszych odkryć z dziedziny chemii i biologii i że nie ma już tu miejsca na domowo-gospodarskie dodatki i korekty, które tylko zepsuć mogą całą robotę.

Przetwory bezcukrowe czyli tak zw. półfabrykaty, utrwalamy dwoma sposobami:

1) W zakorkowanych butelkach.
2) W słoikach pod pechem.

1) W butelkach utrwalać można tylko owoce drobne — jak wszystkie jagody, porzeczki, agrest lub wiśnie i czereśnie wpierw wydrelowane. Owoce większe utrwalamy w butelkach w postaci rzadkiej miazgi zwanej przecierem, którą roztajamy miażdżąc je, względnie przepuszczając przez maszynkę od mięsa. Owoce, które mamy użyć w całości powinny być świeże, zdrowe i dojrzałe. Po wymyciu i dokładnym ich oczyszczeniu, ogrzewamy je, dodając 1/5 ich objętości wody lub lepiej soku z gorszych owoców, do temper. 80—85° C przez 15 minut. Przeciery ogrzewamy we własnym soku bez dodatku wody do tej samej temperatury. Ogrzewanie surowca owocowego odbywa się w rondlach aluminiowych lub emaliowanych (niepopękanych!) — nigdy w żelaznych lub miedzianych. W ten sposób przygotowany produkt wlewamy na gorąco przez lejek do butelek, które muszą być wpierw starannie wyczyszczone sodą i szczoteczką i spłukane gorącą wodą przegotowaną — lub ogrzane na sucho w piecyku. W handlu są obecnie doskonałe lejki o szerokim otworze i specjalnym rowku, przez który uchodzi powietrze. Owoce całe wpychamy przez lejek pałeczką szklanną lub drewnianą wyparzoną we wrzącej wodzie. Równocześnie przygotowujemy na kuchni główne naczynie do pasteryzacji — to jest kociołek lub baniak blaszany (np. od gotowania szynki mający podwójne dno lub wkładkę drucianą, patyczkową lub z plecionki, jaką kto tylko rozporządza. Ogrzewamy w nim wodę do temper. 80—85° C, która to granica musi być kontrolowana termometrem. Jedynym więc wydatkiem i to jednorazowym i na długie lata — jest kupno termometru o podziałce do 100° C. Przesuwamy go przez korek butelki napełnionej zwykłą wodą i taką butelkę kontrolną wkładamy do baniaka, mogąc w ten sposób zawsze skontrolować temp. wody w której pasteryzujemy przetwory. Napełnione goracym surowcem butelki wkładamy do baniaka i podgrzewamy do 80—85° C — poczem zamykami je dobrymi, nowymi korkami (przez 12 godzin wymoczonymi i sparzonymi wrzącą wodą), — przywiązujemy je do szyjek butelek tak zw. węzłem aptekarskim — dolewamy wody do kociołka aby butelki były w niej całe z korkiem zanurzone i pasteryzujemy je przy 80—85° C przez 15—20 minut. Po zakończeniu pasteryzacji obcinamy na butelkach wystające części korka i natychmiast zanurzamy korek i brzeg szyjki flaszek do rozpuszczonej smółki lub pechu, dla uszczelnienia wyjałowionego korka. Gdy butelki trochę ostygną, zanurzamy je do letniej wody ażeby ostygnięcie przyspieszyć, co wpływa dodatnio na jakość produktu.

2) W słoikach pod pechem — utrwalamy duże owoce i gęsty przecier, które byłoby trudno wydostać z butelek. Przygotowujemy sobie słoiki tak samo dobrze wymyte i odkażone przez zanurzenie do wody letniej i ogrzanie ich przez 15 minut w temp. 85° C. Po wyjęciu słoików i wylaniu z nich wody — napełniamy je natychmiast produktami owocowymi przygotowanymi wedle przepisu obowiązującego w sposobie butelkowym. Po lekkim ostygnięciu (około pół godz.) zalewamy powierzchnię napełnionych słoików roztopionym pechem, oczyszczając przedtem brzegi słoika, ażeby pech dobrze przywarł. — W ten sposób konserwujemy jabłka, gruszki, morele pokrajane na kawałki mniej więcej 3 cm³ lub gęsty przecier z tych owoców.

Widzimy więc że metody wyrobu przetworów bezcukrowych nie przedstawiają specjalnych trudności — a ułatwiają nam bardzo sfinansowanie letniej kampanii owocowej.

MODA

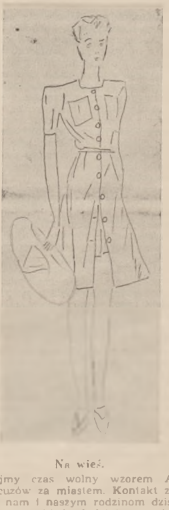

Na wieś.

Spędzajmy czas wolny wzorem Anglików i Francuzów za miastem. Kontakt z przyrodą jest nam i naszym rodzinom dzisiaj bardziej, aniżeli kiedy indziej potrzebny. Aby wycieczka się udała trzeba pomyśleć o odpowiednim ubraniu i pożywieniu. Do samochodu wysoka i smukła pani ubiera miękkie flanelowe spodnie, kurtkę zamszową i sportowy półbucik. Inne panie zastąpią spodnie szeroką krótką spodniczką, uzupełnioną trykotową koszulką lub swetrem. Na rower spodniczka-

spodnie i wełniana bluzka. Jazda kajakiem wymaga szortów i bluzki kretonowej, na dzień chłodny spodniczka, sweter i wiatrówka. Na tle zieleni na wsi pięknie wyglądają płócienne, kretonowe sukienki, barwne chusteczki lub szerokie słomiane kapelusze. W pociągu pani najlepiej będzie wyglądać w angielskim kostiumie ze sportową bluzką.

Jedzenie pakujemy do plecionego koszyczka, zaopatrzonego w przegródki i wieczko. Kanapki, zimne mięso w plastrach, ser itp. owijamy w papier pergaminowy, sałatkę i masło układamy do puszek aluminiowych, na kawę, herbatę i lemoniadę przygotowujemy termosy. Talerzyki i kubki z masy papierowej lub bakelitowej będą w tym wypadku niezbędne. Pani powinna pamiętać i o estetyce stołu na majówce i dlatego zabiera barwny papierowy obrus i serwetki, który z tłem soczystej zieleni tworzy miłą i przyjemną dla oka całość.

Julie.

Na kajak.

ARTYKUŁY BIOKOSMETYCZNE
z laboratorium
Dr C. J. RZYMOWSKIEJ
z Warszawy
do nabycia w sklepie
„LUSINA"
Kraków — Jagiellońska l. 4
Tel. 166-44.

KORESPONDENCJA

„Zakłopotana Studentka" Z. F. prosi o pomoc w rozstrzygnięciu następującego faktu: na uniwersytecie poznała się bliżej z sympatycznym kolegą, dla którego ma głębsze uczucie. Młody człowiek okazuje jej serdeczne przywiązanie, jednak na kilkakrotną jej propozycję, żeby wprowadził ją do domu swych rodziców, znajduje zawsze jakąś odpowiedź odmowną, mimo, że p. Z. F. pochodzi z rodziny równej pozycją towarzyską i intelektualną jego rodzinie. Jak sobie tłumaczyć takie postępowanie?

Nie chcielibyśmy rzucać cienia na Pani młode serduszko, jednak wnosimy z tego zapytania, że Pani traktuje o wiele poważniej ten stosunek uczuciowy, aniżeli jej partner. Pani już dzisiaj pragnęłaby nadać mu cechy trwałości przez zbliżenie się do rodziny ukochanego. On zaś, być może wskutek swego młodego wieku i zależności materialnej, ograniczającej jego możliwości życiowe, poprzestaje na tym, co daje mu dzień dzisiejszy, nie pragnąc wcale chwilowo pogłębiać swego stosunku do Pani i zdradzać się z nim przed swoimi bliskimi. Jest rzeczą niezmiernie delikatną dawać jakieś rady w tej sprawie, nie znając bliższych jej szczegółów. Sądzimy jednak, że nie powinna Pani powtarzać więcej swojej propozycji, trzeba natomiast ubezpieczyć się przeciwko możliwości „zawodu", jeśli niechęć jego do wprowadzenia Pani do swej rodziny będzie trwała. Będzie to bowiem wyraźnym dowodem, że partner Pani nie ma tak zwanych „poważnych zamiarów".

Proszę pamiętać, że strasznicką serca kobiety powinna być zawsze duma. Ona nie pozwoli Pani marnować czasu na niepotrzebne cierpienie, jeśli okaże się, że ciężar gatunkowy uczucia Pani był większy, aniżeli była do niego zdolna druga strona.

H. Z.

Panna Irka M. zapytuje, czy po maturze ma się poświęcić malarstwu, do którego czuje pociąg, czy też wobec trudności materialnych nauczyć się raczej czegoś, co dałoby jej możność zarobkowania w bliskiej przyszłości.

Samo wahanie się Pani dowodzi, że nie jest Pani bezwzględnie pewna swego talentu, że nie narzuca się on Pani z przemocą, decydującą siłą. Człowiek mający powołanie artystyczne, wynikające z prawdziwego talentu, idzie bez namysłu drogą ciężkich nieraz wyrzeczeń i twardej pracy, bo po prostu inaczej postąpić nie może. Powołanie artystyczne truje sobie drogę poprzez wszystkie koleje życiowe. Znałam we Lwowie urzędniczkę pocztową, która wieczorami tworzyła przepiękne ilustracje do bajek dla dzieci. Znam też wiele malarek z długimi studiami, które raczej bybyły na miejscu przy owym okienku pocztowym.

Radzilibyśmy Pani zasięgnąć opinii o swych pracach u jednego z poważnych naszych malarzy i obliczyć się dobrze ze swymi siłami. Jeśli wynik będzie zadawalniający, droga artystyczna, choć mozolna i wymagająca dużych ofiar, może Panią doprowadzić do wymarzonego celu. Jeśli nie, lepiej pomyśleć o przygotowaniu się do pracy zarobkowej, a swoje zamiłowania artystyczne pielęgnować w sobie dla rozjaśnienia i wzbogacenia swego życia i życia swoich bliskich. I wówczas jeszcze będzie Pani istotą uprzywilejowaną wobec tych, co skazani są na szarzyznę pracowitego życia bez możności odskoku w dziedzinę sztuki i piękna.

H. Z.

(Dok. ze str. 10 ej)

1) Owoce i jarzyny — nie zawierające skrobii — spożywać na surowo, te ostatnie dobrze rozdrobnione i przyprawione.
2) Odrzucać z jarzyn tylko części nadpsute i zdrewniałe, wyzyskując młode listki kalarepy, kalafiorów, głębie kapusty i kalafiorów, zielone pędy celnin itp.
3) Jarzyny obierać cienko, płukać krótko, nie moczyć.
4) Jarzyny gotować szybko, pod przykryciem, bez odlewania wody.
5) Jarzyny z wywaru zużywać na sałatki, albo też szatkować przed gotowaniem i zużywać w zupie.
6) Jarzyny strączkowe wymyte namoczyć na kilka godzin w przegotowanej wodzie i gotować bez sody w tej samej wodzie. Moczyć należy wszystkie suche jarzyny, grzyby, owoce a nawet grube kasze, wodę z moczenia zużywać.
7) Mleko gotować krótko i przechowywać w chłodzie, kozuch przetrzeć i zużyć do potraw.
8) Jaja podawać na miękko, a do poprawiania zup i sosów używać surowych żółtek.
9) Mięsa nie przechowywać w papierze lub na deskach drewnianych, świeżego nie moczyć, nie zbierać szumowin.
10) Kwas z ogórków, kapusty, pomidorów oraz różnych owoców i jarzyn dodawać do potraw w stanie surowym bez dalszego gotowania.
11) Masło i śmietanę podawać na surowo.
12) Przetwory z jarzyn i owoców zabezpieczyć przed utratą witamin.

W okresie ciężkich warunków gospodarczych i braku produktów zasadniczych potrzebną jest koniecznie znajomość zastosowania produktów zastępczych.

I tak: herbatę trzeba będzie z stąpić surowymi młodymi liśćmi z poziomek, ostrężn i malin, które można mieszać z suszonymi jagodami — suszonymi dolekkiego zrumienienia obierzynami z jabłek, wreszcie naparem z mięty, rumianku itp. Kawę ziarnistą zastąpią rumienione ziarna naszych zbóż, mieszane z palonymi żołędziami, soją, marchwią. Jarzyny świeże można zastąpić przez konserwowane a przede wszystkim kiszone, sterylizowane, solone i suszone, poza tym wyzyskać można dziko rosnące rośliny jak lebioda, pokrzywy, mniszek, zajęcza kapusta, rzeżucha itp. Kwas cytrynowy mogą zastąpić żórawiny dając ce się łatwo przechować nawet na surowo dzięki zawartości kwasu benzoesowego, a także kwas z ogórków, kapusty, buraków, żur, sok z pomidorów, ocet z obierzyn z jabłek. Świeże owoce ogrodowe zastąpić można jagodami leśnymi. Mleko jest produktem trudnym do zastąpienia, bo niezbędnym w odżywianiu zwłaszcza dzieci, w okresie wojennym pojawi się pewnie mleko w proszku i skondensowane. Mięso szkieletowe bydła rzeźnego zastąpią organy wewnętrzne, drób, ryby, mięso wędzone, suszone, suche wędliny, krew świeża, ser, jaja, jarzyny strączkowe. Świeże ziemniaki zastąpić mogą suszone płatki ziemniaczane, sago ziemniaczane, jarzyny strączkowe, chleb, kasze, potrawy mączne.

Tłuszcze drogie muszą być zastąpione tańszymi jak oleje roślinne: lniany, konopny, oliwa sojowa, margaryna, frytura z mieszanych tłuszczów, tran itp. Do wypieku chleba trzeba będzie dodawać mąki jęczmiennej, kukurydzianej, hreczanej, ziemniaków, dyni, marchwi, buraków. Jaja w potrawach może zastąpić suszona zacierka na jajkach przyrządzona przez przewidującą gospodynię w „dobrych" jeszcze czasach.

„TERESA"
Wytwórnia Szat Liturgicznych
Przyjmuje również stare aparata do odnawiania.
K. T. Ludwiczkówna
Kraków, ul. Mikołajska 17

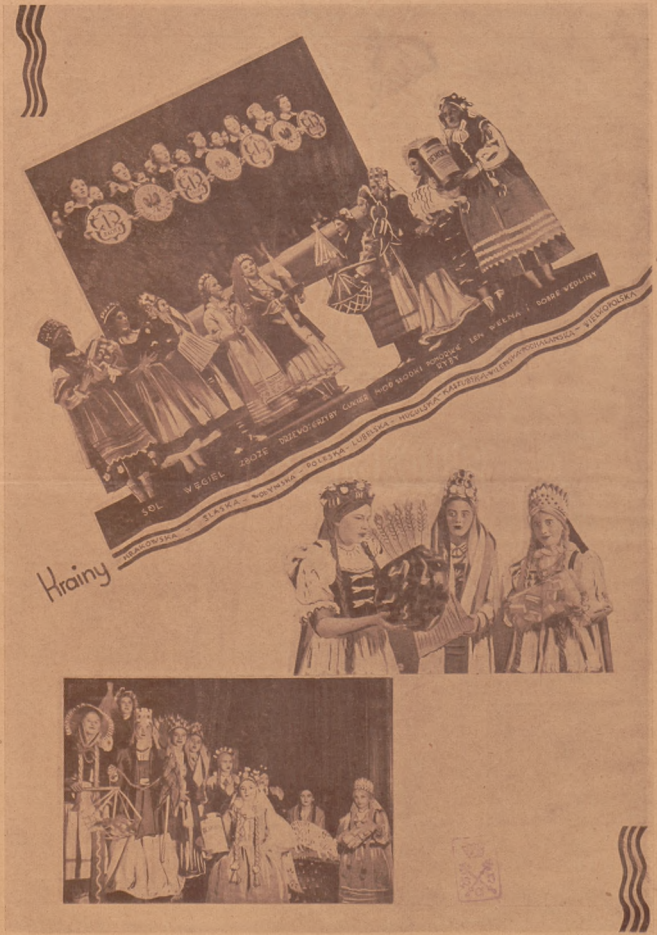

„Przy naszych warstatach pracy" — zespół uczennic Gimnazjum Kupieckiego.

PRENUMERATA: roczna zł 6.—, półroczna zł 3.—, kwartalna zł 1.50; cena numeru 50 gr.

Redakcja i Administracja: Kraków, ul. Wybickiego L. 1. — WYDAWCA Dr Janina Skowrońska-Feldmanowa i Wilhelmina Brzezińska

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95